Numer 25. Nal. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 23 Czerwca 1930**



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

W wojsku.

Bez uprzedzenia zjawia się nagle w koszarach pułku dowódca dywizji. Na placu koszarowym spotyka idącego z menażkami żołnierza, którego zatrzymuje.

— Dobre u was jedzenie?

— Bardzo dobre, panie generale — melduje wystraszony żołnierz.

— Dajcie mi łyżkę, chciałbym skosztować.

Żołnierz posłusznie podaje łyżkę generałowi, który spróbował zawartości obydwu menażek i cmoka.

— No niezłe to jest, tylko za wiele mieszaniny, jak na zupę...

— Melduję posłusznie, panie generale, że to są zlewki dla świń pana porucznika prowiantowego.



Poważny gospodarz.

— Od czegóż was to oko boli?

— A no... od Bartkowej pięści.

— Wstydzilibyście się Wojciechu... taki poważny gospodarz, żeby się wdawał w bójkę i dopuszczał do tego, by mu oko podbijali.

— Prawdę pan mówią... drugi raz nie popuscę, ino sam pierwej Bartkowi oba ślepia wybiję.



To zależy.

— Powiedz, ile lat ma osoba, która urodziła się w roku 1893?

— Mężczyzna, czy niewiasta?

W sądzie.

Sędzia: Żądasz odroczenia rozprawy z powodu choroby obrońcy, a przyznajesz się sam do kradzieży, więc cóż może jeszcze adwokat na twoją korzyść powiedzieć?

Oskarżony: Właśnie tego i ja jestem ciekawy.



Poznaje kurę po zębach.

Stary uczony, będący wielkim smakoszem, jest w pewnym domu na obiedzie i zapewnia, że zawsze rozróżni starą kurę od młodej.

— Po czem? — pyta gospodarz.

— Po zębach.

— Przecież kura niema zębów.

— Kura nie, ale ja.



Młoda gospodyni.

Wojciech: Pawle, jakże się udał twej żonie pierwszy obiad, na własnem gospodarstwie?

Paweł: Obiad nie udał się jej wcale, nawet podręcznik do gotowania na pół się jej przypalił.

Numer 25. **Rok XIII.** **Kraków, dnia 22 czerwca 1930.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500 868.

Nabożeństwo do Serca Jezusowego.

Wielu ludzi mierzy życie ilością dającej się w niem osiągnąć rozkoszy. Są oni pewni siebie, ufni we własne siły, pogodni i przyjemni w pożyciu wzajemnem, dopóki niebo jasne nad nimi. Lecz niechaj tylko zerwie się burza nieszczęść, niechaj zaczną ich niepowodzenia nawiedzać, narzekają, stają się drażliwi, gniewni i zniechęceni do życia, do przyszłości całej.

Ludzie tacy sami sobie szkodzą, bo w podobnem postępowaniu zatracają swe siły fizyczne i duchowe. A gdy i ich otoczenie, rodzina podobnie zachowa się w nieszczęściach, cały z trudem wielkim może wzniesiony gmach spokoju, wzajemnego zadowolenia, może się rozsypać w gruzy. Człowiekowi bowiem zawsze szczególnie zaś w nieszczęściu, bólu, potrzeba Bożej pomocy, by wytrwać godnie na posterunku, na którym go Bóg i naród własny postawił.

Wielki i świetlany Duch Henryka Sienkiewicza pozostawił nam przepiękne myśli: „Kochać dopiero mnie Chrystus nauczył. W Nim jest źródło szczęścia i spokoju. Ileż ta (Jego) nauka daje pociechy i wytchnienia w niedoli, ile cierpliwości i odwagi wobec śmierci, ile szczęścia w powszednich dniach życia?! Ludzie nie znali Boga, którego można miłować, przeto i nie miłowali się między sobą i stąd szła ich niedola, bo jak światło ze słońca, tak szczęście z miłości wypływa". („Quo vadis" str. 518, Winicjusz do Petronjusza).

Gdy więc w siedmnastym wieku miłość Boga, a również szlachetna, prawdziwa miłość między ludźmi, która na miłości Boga opierać się musi, zaczęła słabnąć, zapragnął Chrystus pociągnąć ku Sobie zimną, nieszczęśliwą ludzkość. Do tego wielkiego celu użył cichej zakonnicy św. Małgorzaty Marji Alacoque (ur. 1647, † 1690, kanonizowana 1920 r.), 16 czerwca 1675 r. ukazał się jej Chrystus cały w promieniach, z pięciu ranami. Serce Jego rzucało naokoło promienie i otoczone było koroną cierniową, a u wierzchu uwieńczone było krzyżem. Chrystus wskazując na Swoje Boskie Serce rzekł do Swej cichej, ukochanej wielbicielki: „Oto Serce, które tak ukochało ludzi, że się wyczerpało i wyniszczyło dla okazania im swej miłości. Masz obietnicę moją, iż Serce moje rozszerzy się i hojnie wyleje błogosławieństwa na każdego, kto będzie czcił to Serce i gorliwie się starał o rozszerzenie czci Jego. Zgoda i pokój będą panowały w ich rodzinach. Gdziekolwiek obraz ten będzie umieszczony ku szczególnemu uczczeniu, tam sprowadzi wszelakie błogosławieństwo. Z nadmiaru miłosierdzia Serca mego obiecuję ci, że wszechmocna miłość tego serca wszystkim przystępującym przez dziewięć z rzędu pierwszych piątków miesiąca do Komunji św., da łaskę pokuty ostatecznej, że nie umrą w stanie niełaski, ani bez Sakramentów św., i że Serce moje stanie się dla nich bezpieczną ucieczką w godzinę śmierci".

Wielka to i radosna obietnica! Czy nie warto poświęcić nieco trudów, by jej stać się godnym? Czy może, czy powinna nas powstrzymywać krytyka, uśmieszki może ironji ludzi zobojętniałych we wierze od drogi wiodącej do szczęśliwej przyszłości? To Boskie Serce, z ciała i krwi, które włócznia przebiła na krzyżu, złączone jednakże zawsze z Boską Osobą Chrystusa, wzywa nas do Siebie:

„Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę. Weźmijcie jarzmo moje na się, a uczcie się odemnie, żem jest cichy i pokornego serca; a znajdziecie odpoczynek duszom waszym. Albowiem jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemię moje lekkie". (Św. Mateusza XI, 28—30).

Rzućmy więc ciężkie i hańbiące brzemię grzechu, i idźmy za Nim, za naszym Bogiem i Przyjacielem.

Jan Pelczar.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

— Kraj ten leży za górami Nuamszwamskiemi, i to nawet nie jest tak daleko — objaśniał go naczelnik.

— A więc dobrze, każ stamtąd przynieść złotego proszku — rzekł Rjumin tak obojętnie, jakgdyby chodziło o rzecz bez znaczenia.

— Teraz tego nie mogę zrobić — odrzekł naczelnik, a twarz jego pokrył smutek.

— Dlaczego nie możesz? — pytał dalej Rjumin, chciał on dalej podtrzymać rozmowę, traktującą o tak ważnym dla niego przedmiocie, a bał się że rozmowa może się urwać, nim dowie się tego, do czego zmierzał.

Naczelnik chwilkę milczał, jakgdyby nie słyszał pytania śpiewaka, lub rozważał, czy wogóle ma na pytanie odpowiedzieć. Dopiero po chwili zaczął mówić, wskazując ręką het, daleko:

— Widzisz te szczyty gór Lacarskich, pokryte lodem?

Rjumin nawet nie śmiał wytężać wzroku, aby je ujrzeć, skłonił też głową na znak, że widzi.

— Te góry — mówił dalej naczelnik — są wałem obronnym państwa, leżącego tam za niemi. Przez te lodem pokryte szczyty, do dziś nie przeszła żadna noga ludzka.

— A cóż, czy to niema tu innej drogi? — pytał się Rjumin.

— A jest, jeszcze jedna prowadzi do tego państwa, a to przez górę Adda-Choch, ale i tę zajęto.

— Kto ją zajął?

— Jessydzi, którzy się tam usadowili.

— To jeszcze nic straconego — bąknął Rjumin — trzeba Jessydów napędzić, a będziesz miał znów wolną drogę.

— Teraz jest to niemożliwe — zapewniał naczelnik.

— Ha! to sobie miej swoje stare strzelby.

Te ostanie słowa Rjumin wypowiedział tak zimno i obojętnie, jak gdyby to wszystko razem bardzo mało go obchodziło.

Już też teraz ani słówkiem nie wspomniał o całej sprawie i wogóle unikał wszystkiego, czemby mógł wzbudzić podejrzliwość, musiał być ostrożny, gdyż jeszcze przed polowaniem Czengli zaznaczył, że trochę wątpi w jego lażystańskie pochodzenie.

Tego samego dnia, podczas uczty usadowił naczelnik Rjumina i jego towarzyszkę na honorowem miejscu, a to tak, że śpiewak siedział obok niego a Ismena obok jego siostry. Wszyscy goście zauważyli to, specjalne wyróżnienie śpiewaka, uważali jednak, że stało się to dlatego, bo okazał się odważnym na polowaniu.

Zrazu cała zabawa przy wieczerzy była trochę nienaturalna, bo Czengli był małomówny i posępny. Łatwo możnaby było poznać z jego zachowania się, że układa w duchu jakiś plan.

Skoro goście popili trochę wina, znalazł się i humor, a także i naczelnik rozweselił się i rozprawiał z Rjuminem: —

— Śpiewaku lażystański, teraz już wierzę, że jesteś prawdziwym i dobrym Czerkiesem, uważać mogę cię śmiało za swojego rodaka. Naturalnie odnosi się też to do twojej cudnej towarzyszki, którą przedstawiasz jako twoją siostrę. Nie wymagam więc, abyś mi twoją śpiewaczkę odstąpił za pieniądze lub inne bogactwa, ale chcę ci wzamian za nią dać inną dostojniejszą nagrodę. Nie chcę jej za niewolnicę, ale chcę ją pojąć za żonę, któraby siadywała przy mym boku, a wychowywała mi dzieci. Śpiewaku lażystański dostaniesz moją siostrę za żonę, a ty dasz mi zaś twoją i będziesz jednym z pierwszych w tem państwie, co jest moje, to należeć będzie i do ciebie.

Rjumin się przestraszył, gdy usłyszał tę propozycję.

Naczelnik zaś swoje słowa wypowiedział całkiem w naturalny sposób, nie było w nich ani cienia jakiegoś udawania.

Inni goście ciągle jeszcze myśleli, że naczelnik wynagradza tak obcych gości za ich dzielne zachowanie się na polowaniu i uważali takie wyróżnienie zupełnie za coś naturalnego. Jawnie okazywali swoją zgodę ze słowami naczelnika, czyniąc głośne uwagi i oświadczając, że chętnieby widzieli, gdyby dzielny śpiewak pozostał wśród nich i powiększył zastępy ich pierwszorzędnych bojowników.

Również i czerkieska księżniczka była przyjemnie zaskoczona. Wstydziła się jednak i spuściła oczęta ku ziemi, a twarz jej okrył przecudny rumieniec. Na jej ustach pojawił się ledwo widziany uśmiech, zdradzał on wyraźnie, że słowa brata były echem ukrytego życzenia jej serca.

Zaś Ismena, gdy usłyszała słowa naczelnika, zadrżała na całem ciele i badawczo spojrzała na Rjumina.

Również i inni goście wpatrzyli się w Rjumina, który znajdował się teraz w rozpaczliwej sytuacji.

Był przekonany, że znalazł się wśród odważnego, sympatycznego narodu, — uważał i za takiego jego młodego władcę. Obok niego zaś siedziało wiotkie, cudne dziewczę. Potężny pan ofiarował mu ojczyznę, rodzinne szczęście i spokojne życie. Czy ma prawo zatrzymać je przy sobie i dla siebie, pozbawić ją szczęścia, które się samo nastręcza?

Przypomniał sobie, że tylko dziwny przypadek dał mu to dziewczę, które nie jest ani jego niewolnicą, ani siostrą, ani nawet kochanką.

Jakiem prawem i z jakiej przyczyny może powiedzieć naczelnikowi: Tego dziewczęcia ci nie dam!

A jednak musi tak powiedzieć. Jeżeli Ismenę da czerkieskiemu naczelnikowi, nie może kontynuować swej wyprawy, nie może sam wędrować tu po tych krajach, bo nie zna ich mieszkańców. Z Ismeną również nie może pozostać przy pięknej księżniczce, bo musi starać się osiągnąć swój cel.

Gdy zdobędzie wszystkie tajemnice ziemi złota, może wrócić do swego wodza i uwolnić ojca, matkę i siostrę z syberyjskiego wygnania.

Coby mu rzekł ten straszny człowiek, na rozkaz którego przedsięwziął tę awanturniczą wyprawę?

Z pewnością takby mu powiedział:

— Jeżeli spotkasz dwa szczepy, które się nienawidzą lub odnoszą wrogo do siebie, podburzysz je jeszcze bardziej przeciw sobie. Nie bierz na nic względu, nie pozwól, by opanowało cię jakieś uczucie, a podbudzaj brata przeciw bratu, naród przeciw narodowi, abyś po ich trupach mógł osiągnąć cel, chociażbyś miał zbliżyć się do niego tylko o krok. — Pamiętaj zawsze o tem, gdzie się dwaj biją, tam zawsze trzeci korzysta, — ryby najlepiej łowić w mętnej wodzie.

Takie wskazówki dostał od wodza, Weljaminowa, kiedy się z nim żegnał. Te słowa stanowią treść całej sztuki dyplomatycznej.

Oczy Rjumina uchwyciły spojrzenie Ismeny. To rozpaczliwe, proszące spojrzenie dodało mu odwagi, dodało mu siły i zdecydował się na odpowiedź. Nagle poczuł, że porwałby się za bary i z djabłem, byleby mógł znaleść się bliżej celu.

Dokładnie wszystko rozważył i ułożył sobie plan działania. Potem powstał i nasadzając czapkę głęboko na czoło, odpowiedział naczelnikowi:

— Twoja propozycja, książe, oznacza dla mnie wielkie wyszczególnienie, ale właściwie nie tylko mnie wyszczególniasz, ale i tę dziewczynę, która też pewnie zupełnie na nie sobie zasłużyła. Niedawno wyrwałem ją z rąk mych wrogów i od tej chwili stała się moją siostrą, bo inna miłość nas nie łączy. Mogę więc twojej siostrze złożyć w ofierze całe moje serce, a to tembardziej, że księżniczkę uważam za najcudniejsze stworzenie, jakie tylko kiedykolwiek widziałem.

Po wypowiedzeniu tych słów Rjumin głęboko się skłonił przed czerkieską księżniczką, która się zarumieniła, a potem wpatrzył się w naczelnika i tak dalej mówił:

— Uważałbym to za największe szczęście, gdybym zaraz mógł oświadczyć, że zgadzam się na twoją propozycję, ale równocześnie proszę, abyś zwrócił uwagę na tę okoliczność — żaden panujący kałgarski nie żeni się wpierw i nie wydaje swej siostry za mąż, pokąd nie pomścił śmierci swego zamordowanego ojca. Za krótkiego pobytu w twym domu, dowiedziałem się, jako twojego ojca podle zamordowano, a jego śmierci nikt dotąd nie pomścił. Dotąd nie starłeś brodą wroga niewinnie wylanej krwi ojca. Skoro to zrobisz, co powinieneś zrobić ze względu na pamięć ojca, potem dopiero urządzimy wesele, potem wprowadzę moją siostrę w podwoje twego pokoju i potem i ja niewysłownie szczęśliwy padnę na kolana przed najcudniejszą czerkieską księżniczką.

Te słowa, wypowiedziane z ogromnem namaszczeniem, wywołały u zgromadzonych nadzwyczajne wrażenie. Nikt nawet nie poruszył się.

Młodego księcia ciężko to dotknęło, że ktoś czyni mu wyrzuty.

Wstał gwałtownie od stołu, przebiegł kilkakrotnie nerwowo komnatę, a jego oczy miotały błyskawice.

— Dobrze to powiedziałeś, śpiewaku — rzekł głosem, który zdradzał wewnętrzne podniecenie — ale tak mi się zdaje, że zmierzałeś, by mnie zadrasnąć w najdrażliwszem miejscu.

— Zupełnie nie, książę, nie chciałem cię ani rozgniewać, ani zasmucić — odrzekł Rjumin pewnym głosem — uznaj to sam, przecież musisz raz pomścić śmierć ojca. Uważam, że nie byłoby to dobrze, gdybyś wyprawiał w twoim domu wesele wprzód, nim dokonałeś dzieła krwawej zemsty. Coby to było za wesele, gdybyś nie był pewny, jaka będzie przyszłość? Z jaką przyjemnością wyprawisz wesele, jeżeli ono będzie równocześnie świętem zwycięstwa, odniesionego nad odwiecznym wrogiem. Niechaj twoi waleczni wodzowie, tu zgromadzeni, sami zadecydują, czy nie mówię prawdy i czy nie licują moje słowa z honorem i czcią prawdziwego Czerkiesa?

— Tak, śpiewak mówi prawdę — zawołał jeden z najstarszych wojowników, inni mu przytakiwali.

Naczelnik znów przeszedł się po komnacie, potem zatrzymał się przed Rjuminem i wydobywając miecz z pochwy, rzucił go na stół. Rzekł też namiętnie:

— Niech się stanie tak, jak mówisz. Najpierw krwawa zemsta, a potem wesele. Słuchaj jednak, śpiewaku: z tego wszystkiego poznałem, że posiadasz dużo cennych wiadomości, których nam brakuje, bądź więc naszym wodzem.

Tak skończyła się uczta pamiętnego wieczoru u naczelnika Czengliego. Rjumin dopiął swego. Jego sztuka dyplomatyczna święciła triumfy.

Od tej chwili nie padło w pałacu naczelnika już ani jedno słowo o miłości. Księżniczka przebywała z niewolnicami w swych komnatach, wszędzie rozbrzmiewał szczęk broni, wynoszonej z zamkowych piwnic i kryjówek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LEON LAFAGE.

Bajka szkocka.

Stary lord, pan na zamku, „Linne" czując zbliżający się koniec, wezwał do siebie swego syna jedynaka, rozmiłowanego w grze, ucztach i kobietach młodego hulakę. Wiadomo wszystkim było, że w jego rękach starożytny zamek klanu i olbrzymie połacie gruntu ze stuletniemi lasami nie ostoją się długo.

— Przysięgnij na krzyż — rozkazał stary dziedzic swemu spadkobiercy — że cokolwiek się stanie, nie wyzbędziesz się nigdy małej chaty, leśniczówki stojącej w głębi boru. Kiedy bowiem cały świat zwróci się przeciwko tobie, pod tą ubogą strzechą znajdziesz przytułek i wiernego — ostatniego przyjaciela... Oto klucz: miej go zawsze przy sobie.

— Zgoda nie wiernego przyjaciela — przemknęło młodzieniaszkowi przez myśl i złożył na krzyż żądaną przez ojca przysięgę, postanowiając sobie w duszy dochować słowa święcie i przechowywać ową ubogą chatę od mchu, oplątaną bluszczem, okrążoną zazębionym żywopłotem z kolców, zarośli i jeżyn, jak zamszoną kurzem i pajęczyną butelkę starego wina francuskiego, ani myśląc wszakże zajrzeć kiedykolwiek do niej.

Kiedy stary dziedzic „Linne" zamknął oczy na wieki, młody lord opłakawszy szczeremi łzami ojca, jął rządzić się na własny rachunek. Nigdy jeszcze nie widziano takich zabaw, uczt i hulanek w zamku. Magnacka siedziba wrzała życiem dniem i nocą. Pochodnie i kagańce świeciły na zmianę ze słońcem. Piękne damy i wielcy panowie z dziesięciu okolicznych hrabstw nie opuszczali omal pałacu „Linne" na skutek czego młody gospodarz zmuszony był uciec się niejednokrotnie do kiesy swego intendenta, Johna des Scales, który równie oddany jemu jak jego ojcu, okradał jednego i drugiego na potęgę.

Pan zawiadowca gotów zawsze usłużyć swemu młodemu pracodawcy, nie szczędził mu złota na każde zażądanie, zbierając wzamian podpisy, których lekkomyślny rozrzutnik nie skąpił, kładąc swą herbową pieczęć na każdym podsuniętym mu przez Johna des Scales papierze.

Po trzech latach takiej gospodarki wypadło pewnego pięknego dnia młodemu lordowi odstąpić rodowe swe dziedzictwo, dumę klanu intendentowi Johnowi des Scales. Nie zapomniawszy wszakże o przysiędze danej na krzyż ojcu, wymówił sobie zatrzymanie na własność zapadłej w borze leśniczówki, narażając się na kaskady śmiechu i grad sprośnych drwin obecnych przy tranzakcji.

Podczas kiedy John des Scales objąwszy we władanie zamek „Linne" grał rolę magnata redukując bądź co bądź skalę wydatków, żona zaś jego, napuszona, gruba i jak ćwikła czerwona jejmość udawała „lady", były dziedzic wielkopańskiej fortuny puściwszy ostatniego „penny" w całonocnej hulance, z sercem równie co i usta pełnem goryczy wspominał o swej chacie.

— Ach! — jęknął — ojciec przewidział moje szaleństwa! Zachował mi dach nad głową i... przyjaciela podobno! A no! Zobaczmy go!

Poprzez ostre jak brzytwa trawy z trudem dotarłszy do zieloną pleśnią pokrytej leśniczówki, ostatniem cięciem szpady rozerwał zwoje bluszczu, tamujące drogę do drzwi, wydobył klucz z kieszeni, otworzył chatę i stanął na jej progu, rozglądając się po prostej, pozbawionej mebli izbie o podłodze glinianej; w której pośrodku stał stołek, z sufitu zaś zwieszał się nad nim gruby powróz, zakończony pętlą z wetkniętą weń kartką pergaminu:

Młody lord zbliżywszy się do sznura, wyjął z pętli papier i przeczytał co następuje:

„Twój ostatni przyjaciel!"

— Ha! Ojciec miał słuszność! — szeptał lekkomyślny rozrzutnik — nie pozostaje mi nic innego...

I nawykły w grze do zarówno szybkich jak bezpowrotnych decyzyj, stanął na stołku, powiększył pętlę, wsadził w nią głowę i rzucił się w wieczność.

Ocknął się w postawie siedzącej, na glinianej podłodze, w obłoku pyłu i gruzach. Sznur bowiem pociągnął za sobą sufit.

Coś zabrzęczało spadając wraz ze szczątkami wapiennemi. Niedoszły samobójca spojrzał: na ziemi leżał klucz z przywiązaną do niego kartką pergaminu, z której młody lord dowiedział się o znajdującej się w chacie skrytce ze skarbem.

Któż opisze głębokie wrażenie, jakie wszystkie te w piorunującem tempie idąc po sobie wypadki wywarły na młodzieniaszku! Jak błogosławił pamięć ojca, czuwającego nad nim z za grobu! Dojrzały moralnie, powstał pełen męskich postanowień.

Przewiązawszy dwanaście kies złota wokoło swego rzemiennego pasa wolnym krokiem ruszył do zamku „Linne", gdzie John des Scales podejmował przednich gości. Służba rozstąpiła się przed młodym lordem, zebrane towarzystwo natomiast, w którem brali udział niejedni z jego „przyjaciół", wypróżniających przed niedawnym czasem piwnice jego i śpiżarnie, trzebiących jelenie jego i daniele, zajeżdzających na śmierć jego rumaki — zaledwie nań spojrzało.

— Nie mógłbyś pan dać mi trochę... zaczął młody lord półgłosem, zbliżywszy się do Johna.

— Ha! ha! ha! — przerwał mu były intendent głośno. — Nie do twarzy ci, jaśnie panie, z żebrzącą miną. Prosisz o pieniądze? Na to, by roztrwonić je? W karty przegrać?

— Widzieliśmy pana przy robocie! — dodała pani des Scales szyderczo.

— Nie wtrącaj się! — burknął mąż na nią i, zwracając się do młodego lorda, dodał:

— Jeśli pan głodny jednakże...

— Licz na mnie, przyjacielu! — przerwał mu jeden z młodych baronetów, podchodząc i kładąc dłoń młodemu lordowi na ramię, podczas gdy ten, pełen gniewu, wymawiał intendentowi zrobienie majątku jego kosztem.

— Ależ pańskie dobra są ruiną dla mnie! — obruszył się John des Scales. — Zniewolony byłem do ich kupna! Gotów jestem odstąpić posiadłości te wraz z zamkiem o sto gwinej taniej, aniżeli nabyłem je!

— O sto gwinej taniej? — spytał młody lord z niedowierzaniem.

— Tak jest. O sto gwinej taniej! Jak powiedziałem. Słowo honoru daję!

— Biorę was za świadków, panowie! — odezwał się młody lord do obecnych, wyjmując trzos po trzosie z za pasa i wyliczając przed oczyma struchlałego intendenta i osłupiałych jego gości żądaną sumę na stół.

John des Scales zgarnął rad nie rad pieniądze i poszedł jak zmyty szykować się do opuszczenia zamku, podczas gdy godna jego połowica darła z rozpaczy włosy na głowie.

Młody lord, ściskając dłoń młodego baroneta, dumnym wzrokiem głowy klanu objął swe rodowe dziedzictwo i uśmiech szczęścia opromienił szlachetne jego rysy: oto jest znowu panem swych rozległych włości, których strzec odtąd będzie jak oka w głowie i ma przyjaciela, zawdzięczając go nie fortunie swojej, lecz samemu sobie!

Cóż, że ten świat..

Pamięci Zosi Smreczyńskiej

Cóż, że ten świat taki piękny,
Że wiosna upaja duszę,
Kiedy ja... łaknąca piękna
Tak młodo umierać muszę...

Cóż z tego, że pod mem oknem
Bawią się dzieci radośnie,
Kiedy ja — dziecko — z ich grona —
Smutna być muszę w mej wiośnie.

Cóż z tego, że dziś „bzy kwitną",
Że świat się bieli okiścią,
Kiedy... mnie robią truchełkę,
Powiędłe mi grają liście...

Naco się zdało „obkuwać",
Tonąć w formułkach i wzorach,
Cóż, że orzekli — „dojrzałaś!",
A nie dostrzegli, żem chora!...

Powiędły usta czerwone,
Usta, tak chcące całować
Kwiaty rozkwitłe na łące...
(Późno, hej, późno żałować!)

Na cichym, wiejskim cmentarzu,
Pod krzyżem z płaczącej brzozy
Śmierć obok ojca-poety
Umarłe kosteczki złoży...

Zośko! Ty młoda pieśniarko!
Córeczko wiecznego smutku!
Wszyscy się z tobą złączymy...
Przyjdziemy — „tam" pomalutku...

Tylko dlaczego odchodzisz
Teraz, — gdy świat rozśpiewany,
Gdy wszystko życia tak pragnie!
...W alejach kwitną kasztany...

Chciałaś mieć białą trumienkę?
I świeżo rozkwitłe kwiatki?
Pragnęłaś, by, gdy poniosą..
Jabłonne padały płatki?

Już ja wiem! Ja wiem! Rozumię!
Tobie dzieweczko Smętnicy
Serce rozpękło z miłości —
I lica powiędły z tęsknicy.

Jacek Orlik.

W UPALNE LATO NAD STRUMIENIEM.



Jeszcze to niby kalendarzowa wiosna, bo lato zaczyna się właściwie 21 czerwca, lecz w bieżącym roku mamy prawdziwie latową niemal od pierwszych dni czerwca, a ubiegły tydzień dał się niejednemu porządnie we znaki. Upał dokuczał nietylko w miastach, gdzie do ścian kamienic i kamiennych bruków słońce przypiekało niemiłosiernie, ale dokuczał on również na wsi, wyciskając pracującemu rolnikowi strumienie potu z utrudzonego czoła.

Upał dawał się jeszcze więcej we znaki mężczyznom, aniżeli kobietom, bo lekkie stroje tak dziewczątek wiejskich, jak i panienek w miastach są przewiewniejsze, a przeto łatwiejszy ma tam dostęp chłodzący zefirek, o ile oczywiście tylko zawieje. Gorzej jest z mężczyznami. Obcisłe ubrania tamują dostęp powietrza, które nie suszy wydobywającego się potu. Potem wsiąka w bieliznę, a nawet wierzchnie odzienie, czyniąc niejako barjerę dla ochładzającego powiewu.

Jakże zazdrościł będzie w takie dni upalne niejeden z nas, gdy popatrzy na powyżej zamieszczony obrazek. Oto trzy hoże dziewoje wiejskie wyszły w upalny dzień na brzeg strumienia, aby przeprać w niem swą własną i swej rodziny bieliznę. Tak im tam miło, tak rozkosznie, że nie spieszą się wcale z powrotem do domu. Gdzie tam mogły, porozwieszały sznury, a na nich wyprane i wypłukane okrycie, aby wilgoć z niego wyciągły upalne promienie słońca. I dzieje się tak, że nim jeden kawałek zostanie przepłukany, to już poprzednio zawieszony wysechł zupełnie, że go można brać pod maglownicę lub pod rozgrzane żelazko. Praczkom żar słoneczny ułatwia niezmiernie pracę. Niosą do strumienia suche brudy, a wracając do domu, mają już wysuszoną swą pracę, a więc nie potrzebują się namozolić, niosąc nasiąknięte wodą „łachy".

O ile w strumieniu, którego brzegi są pokryte trawą i szuwarami, mogą praczki swą czynność wy-

konywać spokojnie, o tyle praca ich jest utrudniona tam, gdzie dno wody jest piaszczyste, brzegi potoka czy rzeczki niczem nie są porośnięte. Tam niemal od samego rana całe gromady wesołych dzieci pluszcze się w nurtach wody, mącąc ją i utrudniając pracownicom wykonywanie swojego dzieła. Ale trudno! Dziatwie nie można zabronić tej rozkoszy. Wprawdzie niektóre matki przestrzegają swych milusińskich, że kąpać się nie można, póki św. Jan Chrzciciel wody nie poświęci, ale gdzieżby tam kto słuchał najżyczliwszych nawet rad, jeżeli go słońce praży bez miłosierdzia, a tu taka miluśka woda wabi ku sobie i przyrzeka ochłodę i ochronę przed słońca promieni. Na jedno tylko trzeba uważać, aby nie iść do wody zbyt zgrzanym, bo wówczas można nabawić się zapalenia płuc lub innej poważnej choroby. Gdy kto przyjdzie zgrzany nad wodę, niech się najpierw ochłodzi, a i potem niech nagle nie rzuca się w nurty wody, choćby pozornie najcieplejszej, ale niech ciało swe powoli przyzwyczaja do zmiany temperatury.



Powiedziała wam Kaśka przed dwoma niedzielami, ze byłem na odpuście. Co prawda, to nie grzych, a więc byłem, ale cy Pombóg miał z tego jaki prefit, to nie wiem, ale to wiem, ze ja ni miałem zadnego. Bo i jakze? Przecie wiadomo, ze na odpust, to ino co dziesiąta idzie z nabozności, a reśta, Boże odpuść! Co leciwse babsztyle idą po to, aby sie z kumoskami nabajcyć, ile ino w nie wlizie. Mozeby kto nie znający sie na jenteresie powiedział, ze na bajcenie dość mają sąsiadek w własnej wsi, ale taki myliłby sie do cna, bo przecie wiadomo, ze bez cały rok kuzda z nich do swych sąsiadek wszyćkie bajecności po dziesięć razy wygada tak, ze potem nie chce tego nawet najlepsa przyjaciółka słuchać. A na odpuście trafi sie jedna i druga z dziesiątej okolice, to jej mozna wszyćko jesce jedenaście razy opowiedzieć i jesce do tego coś niecoś dorzucić.

Co starsiejse gospodarze ciągną takze na odpust, bo przecie wiadomo, ze u nas przy kuzdem kościele jest karcma, a w tej karcmie synkwas, a za synkwasem usłuzny harendarz z korkociągiem, który kuzden gros z kieseni wyśrubować potrafi. Idą tedy najpierw do kościoła, gdzie słuchają, jak jem jegomość z kazalnicy do cna sumienia rozstrząsa, a kiedy juz wysłuchają wszyćkiego i nabiją sie podostatkiem i po piersiach i po brzuchu i kiedy jem juz robak wyrzutów sumienia dobrze we wnętrznościach śrubuje, to idą w te pędy do Śmula albo do Mośka, aby te wyrzuty sumienia cemduchu zalać. Idą nietylko ci, co mają złociaki, ale i tacy, którzy mają płótno w kieseni. Ci ze złociakami słuchają podchlebstw takich z dziurąwemi kieseniami i stawiają butelcynę za butelcyną, śklonicę za sklonicą, a ci drudzy kadzą jem bez upamiętania i chlają piwsko lub wódecność za ich krwawice. A kiedy sie wiecór zrobi, wracają jedni i drudzy z pustemi kieseniami, a ze zwarjowanemi łbami. Jegomość wiedzą z doświadcenia, co to bywa po nabozeństwie, więc tak na otywie, jak i na sumie chodzą z tacką i zbirają na chwałę Bozą, ale jegomości nawet najbogatsi gospodarze rzucają tylko grosiaki na tacke, a wszyćkie złote chowają na wiecór la Mośka, który kuzdego i bez tacki do cna oskubie.

Dzieuchy jesce nim na odpust pójdą, to juz nie myślą o odpuście, bo gdyby która z nich myślała o Panu Bogu, toby nie siedziała przed tem bez parę godzin przed lusterkiem, kłaków na łbieby se nie rurkowała, koronek i wstązecek tak na wirzchu, jak i pod spodem nie przypinała, boby wiedziała, ze Poniezus nie patrzy na rurkowane pełechy, ani na podkasane spodnice, ale na serce, które sie u człowieka nie na wirzchu, ale w brzuchu znajduje. Dzieucha taka, coby to wiedziała, nie robiłaby ze siebie miastowy komedjantki, ale ubrałaby sie cyściutko, ale skromnie tak, zeby sie nietylko Panu Jezusowi spodobało, ale i Matce Boskiej razem ze świętem Józefem. A z tych, co idą na odpust, to jakbym zgad, ani jedna nie myśli o Panu Bogu i ani jedna nie stroi sie la niego, ale kuzda pragnie, aby tam jaki Ignac, Maciek, Walek, Bartek, lub inksy śturkac na nią sie pogapił i zuźrał te wszyćkie cudacności, jakie ona na siebie naprzywdziwa. Dobrze ja sie na odpuście tem dzieuchom przypatrzył i widziałem dobrze, ze prawie zadna z nich nie patrzyła na łontarz, nawet na ten, na którem w obrazie był młodziuśki i przystojniuśki św. Jan, ale wszyćkie wywalały gały tam, gdzie byli takie Maćki, jako ja nie przymierzając. Powiadam ja do jednej takiej najbardziej strzylającej ślipiami, ze przecie nie la zywych przysła na odpust, ino la świętych, to mi odpowiedziała, ze świętych będzie miała dość w niebie, a tu na ziemi przydałby sie jej choć jeden nie święty.

— Będzies miała — powiadam jej — po śmierci świętych, siła zechces, ale takich z ogonem i rogami!

A i odpustowe chłopaki nie lepse. W kościele otywa, oni za kościołem pod lipami, w kościele suma, oni pod lipami, w kościele kazanie, oni pod lipami, w kościele niespory, a oni juz coprawda nie pod lipami, ale u Mośka przypijają do siebie, póki jem starcy pinIędzy, a gdy juz przeniesą sie na wiecność do zydowskiej kieseni, to jeden drugiemu do łba skace i nierzadko sie zdarza, ze ten i ów posed na odpust z całą głową, a wraca jakby z garckiem porozbijanem.

Najlepiej na odpuście wychodzą dziady wszelakiego rodzaju, bo jak zacną zendolić i jajceć, to przecie po kilkadziesiąt złociaków za jeden dzień od ludzisków wyciągną i to trzeba powiedzieć na ich pochwałę, ze pinIędzy tych zaraz nie przepiją, ale zostawią se je na jutro i kropną se za nie dopiero wtencas, gdy ich zadna katolicka dusa nie zuźry.

Podróż po dalekich krajach.



Pojmani giną śmiercią męczeńską.

Kochinchina IV.

Noc, jaką spędzili nieszczęśliwi mieszkańcy Ba-Giong, była najokropniejszą w ich życiu. Złamani trudem i już ledwie żywi, leżeli bezwładnie na gołej ziemi na placu publicznym. Złośliwi siepacze znęcali się nad nimi w sposób brutalny, miotali na nich bezustanku wszelkie plugawe obelgi, szarpali ich i bili niemiłosiernie. Z krzykami wyuzdanej tłuszczy mieszały się jęki matek, płacz i kwilenie niemowląt, a księżyc smutno przyświecał tej okropnej scenie.

Z brzaskiem dnia brzęk tamtanów zwiastował przybycie mandarynów. Na placu, gdzie strzeżono pojmanych chrześcijan, stało wielkie poddasze, oparte na słupach, gdzie się zwykle odbywały posiedzenia gminne. Tu mandaryni zasiedli do sądu. Obok nich stało na straży czterech żołnierzy, przed nimi zaś dziesięciu siepaczy z ogromnemi mieczami, gotowych do spełnienia wyroku. Na ziemi przed tem trybunałem leżały sznury, rózgi i inne narzędzia katuszy, a wreszcie krzyż i obraz Matki Boskiej, które miano deptać. Niewiasty i dzieci ustawiono opodal placu wyroku i otoczono szeregiem uzbrojonych żołnierzy; tuż przed sędziami stało 25 mężczyzn, którzy wszyscy już byli w wieku podeszłym, z wyjątkiem jednego 16-letniego młodzieńca. Z boku po prawej stronie trybunału przypatrywała się srogiemu widowisku ciekawa gawiedź pogan.

Krótki był proces sądowy. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy pojmani byli chrześcijanami; sami to zresztą otwarcie wyznali. Do tego usiłowali ratować się ucieczką. A więc wobec sądu annamskiego jawną była ich wina. Mandaryni jednak chcieli się okazać wspaniałomyślnymi i gotowi byli od wszelkiej uwolnić ich kary, byle tylko wyparli się wiary świętej i podeptali wizerunek Ukrzyżowanego. Oświadczył to naczelny sędzia naprzód dwudziestu pięciu chrześcijanom, którzy przed niewiastami mieli być sądzeni.

Oczywiście ani jeden z świętych męczenników na to się nie zgodził.

Mandaryn, zapalony gniewem, daje znak siepaczom. Na głos tamtamu jęk przeraźliwy rozlega się pośród gromady niewiast i dzieci. Niebawem miecz katowski wykonywa wyrok; dwadzieściapięć głów wyznawców Chrystusowych upada na ziemię, a strumienie krwi płyną ze stosu ciał zabitych aż do stóp niewiast, opłakujących śmierć swoich mężów i ojców.



Chrześcijanie grzebią pomordowanych rodaków.

Tę straszną scenę przedstawia nasz pierwszy obrazek.

Kiedy już kaci uporali się z mężczyznami, jeden z mandarynów zwrócił się do niewiast, które spodziewał się zastraszyć tą straszną sceną i rzekł:

— Deptajcie krzyż, jeżeli nie chcecie ginąć tą samą śmiercią!

— O nie! Nie zrobimy tego nigdy — zawołały jednogłośnie — chcemy umrzeć tak, jak mężowie i ojcowie nasi!

Rozgniewany do najwyższego stopnia mandaryn chce już przystąpić do wykonania wyroku, gdy nagle wzruszeni widzowie przerywają mu słowa głośnem wybuchem współczucia:

— Litości! litości — wołają wszyscy, a gdzieniegdzie poganie przeciskają się nawet przez szeregi żołnierzy, aby dobitniej wyrazić swą prośbę.

Głosem tamtamu stara się rozwścieczony sędzia przywrócić porządek i woła ponownie z wyuzdaną dzikością:

— Psy chrześcijańskie, albo krzyż deptać, albo natychmiast umierać! Wybierajcie!

— Umrzeć, umrzeć wolimy! — wołają niewiasty.

Jednak cztery kobiety, do których przyłączyła się 18-letnia dziewczyna, drżąc i ze spuszczonem obliczem postępują zwolna przez potoki krwi do krzyża i obrazu Matki Boskiej; wahają się, walczą ze sobą; nie mogą się odważyć na zbrodnię, przed którą serce się wzdryga.

— Chcecie więc zginąć? — pyta mandaryn. — A jednak żąda się od was tak niewiele. Stąpcie tylko po tym kawałku drzewa, a daruję wam życie, wrócę wam dom i mienie wasze i puszczę was na wolność.

Jedna rzeczywiście skoczyła na krzyż, a i inne cztery poszły za jej przykładem. Ale ledwie ten krok zrobiły, ogarnął je wstyd, żal ścisnął ich serca, podczas gdy pozostałe ich towarzyszki naraz upadły na kolana i złożywszy ręce, a wzniósłszy oczy do nieba, wołały błagalnym głosem:

— Cóżeś zrobiła, córko moja? — odezwała się jedna z matek, przeciskając się ku niej przez tłum.

A córka, płacząc rzewnie, rzuciła się jej do nóg; daremnie żołnierze starali się oderwać ją od matki. Dziewczyna odepchnęła ich, uchwyciła krzyż i wizerunek Matki Boskiej i rzekła do towarzyszek swoich:

— Wyście mnie do grzechu przywiodły, teraz czyńcie razem ze mną pokutę!

I podniósłszy ze czcią krzyż krwią zbryzgany, rzewnie płacząc, składa hołd uwielbienia Bogu Zbawicielowi. Wszyscy chrześcijanie jednocześnie padli na kolana i wśród łez i głośnej a rzewnej modlitwy wyznawali Chrystusa. Cztery nieszczęśliwe kobiety w nadmiarze żalu zanosiły się od płaczu, błagając Boga o miłosierdzie, a chcąc dać jawny dowód, że potępiają swój niecny czyn odstępstwa, wyszły przed mandaryna i siepaczy i rzekły:

— Zgrzeszyłyśmy, musimy więc pierwsze teraz śmierć ponieść za Chrystusa! Oto macie szyje nasze, uderzcie w nie mieczem!

W tej chwili doszło już współczucie pogan do najwyższego stopnia. Z oburzeniem potępiali okrucieństwo mandarynów i wołali:

— Cześć niewiastom chrześcijańskim! Wstyd i hańba okrutnikom, którzy niewinne mordują!

Może to odważne i jednozgodne przemówienie ludu pogańskiego zatrwożyły sędziów, a może też i samo rzewne widowisko wzruszyło ich serca, dość, że nietylko darowali wszystkim niewiastom życie, ale nawet zapewniali, że nie chcieli ich tak srogo ukarać, a jedynie zastraszyć.

W roku 1862 zajęła Francja Kochinchinę i wówczas podobne prześladowania się skończyły. W dziesięć lat później wyprawiono owym 25 męczennikom uroczysty pogrzeb, jaki widzimy na naszym drugim obrazku. Szczątki ich sprowadzono w uroczystej procesji z Kiu-cze do Ba-Giong. Na czele pochodu jaśniał krzyż, za nim postępowali trzej misjonarze, potem kolejno niosło czterech ludzi po jednej trumnie, a przed każdą z nich szło dziecko z tabliczką drewnianą, na której pod krzyżem było wypisane imię i nazwisko zmarłego. Mnóstwo pogan wzięło udział w pogrzebie i przypatrywało się ze wzruszeniem podniosłej uroczystości. Zapewne niejeden z nich przyjął wkrótce Chrzest święty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Spisek.

Upłynęło już kilka miesięcy od ostatnich wypadków naszej powieści. Czcigodny pan mandatarjusz odbywał właśnie jednę z najgłówniejszych czynności swego codziennego działania, oddając się drzemce poobiedniej. Pani sędzina udała się z wizytą do księdzowej, a w kancelarji dominikalnej urzędował pan Gustaw Chochelka sam.

Siedzi właśnie przy brudnym, obryzganym stoliku i gryząc pióro w zębach lub dusząc je zawzięcie w ręku, widocznie sili się z niesłychanem natchnieniem na jakiś pomysł niepospolity.

W tej chwili zajechał kocz przed prześwietne dominium, a zwolna i ostrożnie wyłaził z niego jakiś chudy, skrzywiony człowiek.

— Pan Żachlewicz, były pełnomocnik hrabiego z Orkizowa! — wykrzyknął aktuarjusz, wyzierając przez okno. — Trzeba zbudzić pana sędziego!

I popędził co żywo na drugą stronę.

Pan Żachlewicz wszedł tymczasem do kancelarji i obzierając się dokoła jakby nieśmiały i zakłopotany, zatrzymał się we drzwiach.

Tuż zaraz wpadł pan sędzia z takim pospiechem, że nawet nie przetarł dobrze zaspanych oczu. Pan Żachlewicz widać wielkie miał u niego znaczenie.

— Upadam do nóg pana dobrodzieja! — zawołał, kłaniając się nisko.

— Sługa i podnóżek pana sędziego dobrodzieja — wycedził Żachlewicz i rękę wyciągnął naprzód.

W tej chwili obydwu spojrzenia zetknęły się z sobą i zupełnie różny wyraz odbił się na obu twarzach. Jeden drugiego wietrzył przez skórę. Mandatarjusz zrozumiał na pierwszy rzut oka, że Żachlewicz w jakiejś ważnej przybywa do niego sprawie i chciałby go łatwym zbyć kosztem.

Żachlewicz ujrzał się odrazu odgadniętym i poczuł, że z nielada przeciwnikiem będzie miał do czynienia.

— Pan dobrodziej już z zagranicy? — zapytał głośno mandatarjusz.

— Ledwie co wróciłem.

— Mogę prosić pana dobrodzieja na drugą stronę... mojej żony wprawdzie niema...

Pan Żachlewicz przerwał mu uściskiem ręki.

— Przepraszam pana sędziego, nie ładnie to może, ale przyznam się, że przybyłem li tylko za interesem, nie chciałbym więc robić zachodów.

Pan mandatarjusz obejrzał się za panem Chochelką, a ten już zrozumiał znaczenie tego poruszenia. W takim razie obowiązkiem jego było brać czapkę i wynosić się na przechadzkę.

Żachlewicz i mandatarjusz pozostali w kancelarji. Pierwszy usiadł na starej, brudnej, drelichem pobitej sofce, drugi z urzędową powagą zajął miejsce na drewnianem krześle w pobliżu.

Żachlewicz uśmiechnął się obleśnie, a nie spuszczając przeszywającego wzroku z mandatarjusza, cedził zwolna:

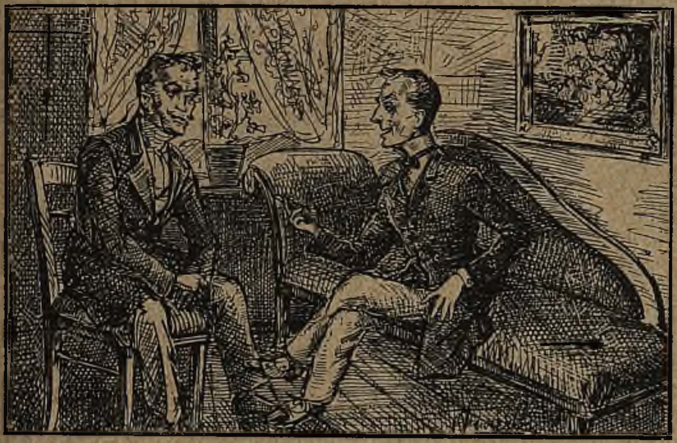
— Mam nader ważną i delikatną sprawę do pana sędziego dobrodzieja.

— O pan dobrodziej potrzebuje tylko rozkazać! — upewniał z ukłonem mandatarjusz.

— Będzie to mała tajemnica.

Mandatarjusz z nabożeństwem pochylił głowę na piersi.

— Przedewszystkiem więc tajemnica pod słowem honoru — ciągnął z naciskiem Żachlewicz.



Żachlewicz i mandatarjusz pozostali w kancelarji...

Mandatarjusz zamiast odpowiedzieć, z uroczystą powagą wyciągnął rękę.

Żachlewicz poprawił się w siedzeniu.

— Pan sędzia wiesz zapewne — zabrał głos po chwili — że przed trzema miesiącami podziękowałem za służbę hrabiemu...

— Słyszałem o tem — odpowiedział mandatarjusz niepospolicie rozciekawiony samym początkiem.

— I jakże pan sobie to tłomaczyłeś, jeśli wolno zapytać?

— Przyznam się, że jak wszyscy inni nie wiedziałem bynajmniej, co myśleć o tem. Pan dobrodziej, źrenica w oku hrabiego...

Żachlewicz uśmiechnął się po swojemu.

— Dziś muszę się z nim procesować, panie łaskawy — rzekł po chwili.

— Czy być może! — wrzasnął mandatarjusz zdziwiony naprawdę.

— Na uczciwość, była to konieczność nieodzowna.

Mandatarjusz swoim zwyczajem rozdziawił gębę.

— O cóż to poszło? — mruknął, jakby niedowierzając.

— Zaraz panu wszystko wytłomaczę, bo będę bardzo potrzebował jego pomocy.

Mandatarjusz uśmiechnął się skrycie, a strasznie go jakoś zaświerzbiła dłoń.

— Proszę tylko rozkazać, w czem mogę służyć — odezwał się po chwili.

Żachlewicz przełożył nogę na nogę, oczy w większy jeszcze niż zazwyczaj wywrócił zyz i prawił dalej powoli, ważąc w ustach każde słówko.

— Oceniając moje długoletnie wokoło swego domu usługi, pan hrabia przyrzekał mi zawsze pewne wynagrodzenie osobne... W samej rzeczy też chciał wypełnić obietnicę przed trzema laty.

— Kiedy objął klucz żwirowski? — wtrącił mandatarjusz.

— Tak, wtedy darował mi na wieczne czasy formalnym zapisem wieś całą...

— A którą?

— Buczały! — odpowiedział Żachlewicz, jakby od niechcenia.

— Buczały! — powtórzył mandatarjusz i pokiwał głową. Ale cóż, nim jeszcze mogłem darowiznę wziąć w posiadanie, przybywa ten klucznik stary Kost Bulij!

— Z testamentem!

— Pan hrabia musiał oddać cały klucz, a więc i moja darowizna spełzła na niczem.

Żachlewicz wstrząsł głową.

— Tak znowu nie myślę.

— Jakto?

— Darowiznę uważam zawsze za darowiznę; nie dostając więc Buczał, miałem prawo rościć sobie jakiś inny równoważnik.

— Słusznie.

— Tymczasem pan hrabia zapatrywał się na tę rzecz inaczej. Utrzymuje, że do darowizny skłonił go jedynie nowy przyrost majątku, a z upadkiem tego przyrostu upada i jej znaczenie.

— Hm, hm — mruknął mandatarjusz i brwi podciągnął do góry.

— Udałem się do zręcznych adwokatów — prawił dalej były rządca generalny...

— A ci zrobili panu nadzieję...

— Bynajmniej, przepowiedzieli mi otwarcie przegraną wobec prawa.

— A pan dobrodziej na to...

— Nie straciłem nadziei. Zapis mój upadał wobec prawa, dlatego, że upadło i samo dziedzictwo hrabiego; wrazie jednak jego prawowitego powrotu do dziedzictwa, powracam i ja do moich praw na Buczały. Aby przyjść do swej darowizny, potrzeba koniecznie wprowadzić hrabiego w posiadanie całego Żwirowa.

Mandatarjusz machnął ręką, jakby zawiedziony w nadziei.

— Panu sędziemu wydaje się to niepodobieństwem?

— A panu dobrodziejowi, nie?

— Bynajmniej. Mam pewną nadzieję, że przy Boskiej i ludzkiej pomocy uda mi się dokazać tego.

— Obalić testament po trzech latach z okładem! — wykrzyknął mandatarjusz.

— W tym razie niema zadawnienia.

— Ale testament ważny po wszelkiej formie.

— Przeciwnie, na uczciwość, ja myślę, że zupełnie nieważny! — przerwał były rządca z silnym naciskiem.

— A to jakim sposobem? — zapytał mandatarjusz i aż gębę rozdziawił, aby lepiej słyszeć odpowiedź.

Żachlewicz uśmiechnął się po swojemu.

— Wiadomo panu, że prawo nie wszystkim pozwala rozrządzać swą wolą.

— Jakto? — wykrzyknął mandatarjusz, nie rozumiejąc dobrze.

Żachlewicz ciągnął dalej:

— Są ludzie, którzy wobec prawa nie mają własnej woli, np. wzięci pod kuratelę czyli opiekę prawną...

— Warjaci! — wrzasnął mandatarjusz i niezmiernie wybałuszył oczy, bo nagle zaczęło mu już świtać w głowie.

Ale nagle się zamyślił i z niejakiem powątpiewaniem wstrząsł głową.

— A dowody!? — szepnął, brodę wychylając naprzód.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tłomacz. z rosyjskiego J. Gazda.

N. GOGOL.

Świętojański wieczór.

Opowiadanie starego kozaka.

A kiedy już nie było Piotrusia w domu Korży, zaczął tam przychodzić jakiś młodzian bogaty, obszyty złotem, z wąsami, szablą i ostrogami. Kieszenie jego brzęczały jak dzwonek u torby dziadka cerkiewnego, z którą chodzi co niedzieli zbierać grosze na ofiarę. A wiadomo przecie, poco chodzą do ojca, który ma ładną i dojrzałą córkę!

Otóż pewnego razu Pidorcia, zalawszy się łzami, wzięła na ręce małego braciszka Iwasia i rzekła:

— Iwasiu mój mały! Iwasiu mój luby! Pobiegnij do Piotrusia mój złoty braciszku, jak strzała z łuku, i powiedz mu, że kocham jego czarne oczy i że całowałabym jego rumianą twarz, lecz nieszczęsny los mój! Ciężko i gorżko mi na sercu, bo ojciec mój jest wrogiem dla mnie i zniewala mnie iść za niekochanego człowieka. Powiedz mu, że przygotowują już wesele, tylko że nie będzie muzyki na tem weselu, a będą popi śpiewać zamiast skrzypek i basów. Nie pójdę ja tańczyć z mężem moim; mnie poniosą... ciemna, oj ciemna będzie moja chata... z klonowego drzewa... i zamiast komina będzie krzyż na niej!...

Piotruś słuchał, jak skamieniały, kiedy niewinne dziecko powtarzało mu słowa Piedorci.

— A ja nieszczęśliwy zamierzałem iść do Krymu i na Tureczczyznę, nawojować złota i z majątkiem przyjechać do ciebie, moje śliczności! Jednak przepadło; niedobre oko rzuciło uroki na nas! Będzie, droga rybko moja, oj będzie i dla mnie wesele! Tylko popów nie będzie na tem weselu... Czarny kruk zakracze zamiast popa nademną, równe pole będzie moją chatą, ciemna chmura zamiast dachu... Orzeł wydzióbie moje czarne oczy, wymyją deszcze kozacze kości, a wicher je wysuszy... Więc co?... Na kogo i komu mam się poskarżyć?... Już widać tak Bóg dopuścił...

— A więc, jak ginąć, to ginąć! — dodał i puścił się prościutko do szynku.

Ciotka nieboszczyka mojego dziadka, zobaczywszy Piotrusia w szynku w taką porę, kiedy każdy porządny człowiek idzie do cerkwi, zdziwiła się bardzo, a jeszcze bardziej wybałuszczyła oczy, gdy Piotruś kazał sobie podać omal nie pół wiadrowy kubeł wódki.

Daremnie jednak Piotruś starał się zalać nieszczęście, jakie go spotkało. Wódka szczypała go w język, jak pokrzywa i zdawała się mu goryczą, większą od piołunu. Rzucił więc kubłem o ziemię.

— Dosyć rozpaczy tobie kozacze! — zagrzmiał ktoś basem poza nim.

Oglądnąwszy się, zobaczył Basawrjuka. Włosy, jak szczecina, oczy, jak u wołu.

— Wiem, czego ci brakuje! Ot co! — rzekł djabeł i brzęknął skórzanym mieszkiem, wiszącym u pasa.

Piotruś wzdrygnął się.

— Ha! ha! ha! Jak błyszczą! — zaryczał przybyły, wysypując na rękę czerwone złote. Ha, ha ha! Jak dzwonią! Ot wszystko dostanie za niecałą górę takich cacek!

— Djabeł! — szepnął Piotruś. — Wszystko jedno! Na wszystko jestem gotów!

Uderzyli w dłonie na zgodę.

— Uważaj Piotruś! W sam raz trafiłeś na porę: jutro Świętojańska noc, a tylko w tę jedną noc zakwita paproć. Nie zapomnij! Ja ciebie będę oczekiwał w niedźwiedzim wąwozie.

Napewno kury nie oczekują tak niecierpliwie tego czasu, kiedy gospodyni wyniesie im ziaren, jak oczekiwał Piotruś wieczora. Wciąż tylko patrzył, czy nie przedłuża się cień od drzew, czy się jeszcze nie zarumieniło słoneczko, a im dłużej oczekiwał, tem więcej stawał się niecierpliwy. Zdawało mu się, że dzień Boży zgubił gdzieś swój koniec.

Jednak i słońce wkońcu zaszło, tylko niebo czerwieniło się z jednej strony, lecz i ono już blednieje, a na polu staje się coraz chłodniej. Ciemnieje i ciemnieje, aż wkońcu zapadł zmrok.

Piotruś, choć mu omal serce nie wyskoczyło z piersi, wybrał się w drogę. Puścił się gęstym lasem i wkrótce znalazł się w wąwozie, zwanym niedzwiedzim dołem.

Basawrjuk już tam czekał.

Ciemno, że oko wykol. Macając rękami, przedzierali się obydwaj przez grzęźkie błoto. Czepiali się rękami gęsto porośniętej tarniny, mimo to upadali prawie co krok. Wreszcie wydostali się na równe miejsce. Piotruś poznał, że tu nigdy jeszcze nie był. Tu zatrzymali się obydwaj.

— Popatrz! — odezwał się Basawrjuk do Piotrusia — oto przed tobą wznoszą się trzy pagórki, na których znajdziesz wiele pięknych kwiatów. Ale niechże cię broni nie tutejsza siła, abyś który z nich miał zerwać! Ale gdy zakwitnie paproć, to łapaj prędzej i nie oglądając się, uciekaj co siły, chociażby się za tobą nie wiem, jakie dziwy pokazały.

Piotruś chciał go jeszcze o coś zapytać, ale z Basawrjuka już ani śladu nie było. Poszedł tedy pod trzy pagórki, ale żadnego kwiatu nie dojrzał. Dziwne tylko zarośla czerniły się wokoło i głuszyły wszystko swą gęstwiną.

Wtem błysnęła na niebie jutrzenka. Przed oczyma Piotrusia ukazała się cała grzęda takich cudnych kwiatów, jakich on jeszcze nigdy w życiu nie widział, a obok zwyczajne liście paproci.

Piotruś, ująwszy się rękami pod boki, stał zamyślony. Gdy w tem ukazał się maleńki, czerwony pączek kwiatu i jakoby żywy począł się poruszać. Piotruś patrzy i oczom wierzyć nie chce. Kwiat porusza się i zbliża się ku niemu, a za każdym ruchem staje się większy i większy, a czerwienieje przytem, jak ogień. Zapłonęła gwiazdeczka, coś cicho trzasło i przed jego oczyma jakby, płomień rozwinął się kwiat, który swym blaskiem oświetlił wszystko koło siebie.

— Teraz czas! — pomyślał Piotruś i wyciągnął rękę przed siebie. Ale równocześnie setki kosmatych rąk wyciągnęło się z poza niego również po ten kwiatek, a poza swemi plecami usłyszał bieganie z miejsca na miejsce. Zamrużywszy oczy z przestrachu, targnął za łodyżkę kwiatka i kwiatek pozostał w jego ręku. Wszystko się uciszyło, a przed nim ukazał się Basawrjuk, siedzący na pniu, cały siny, jak martwy i nieruchomy.

Oczy utkwił nieruchomo w coś tylko jemu widoczne, usta miał napół otwarte, ale nie wydobyło się z nich ani słowo. Wkoło panowała niczem niezamącona cisza. Dreszcz trwogi przeszedł po ciele Piotrusia...

Wtem dał się słyszeć przeraźliwy świst, poczem trawa zaszumiała, a kwiaty rozpoczęły rozmowę cieniutkim głosikiem, jak srebrne dzwoneczki, zaszumiały drzewa, a twarz Basawrjuka nagle ożyła i zabłysnęły jego oczy.

— Jak na złość powróciła czarownica — zamruczał przez zęby. — Uważaj, Piotruś, w tej chwili pojawi się przed tobą. Rób wszystko, co ci każę, bo inaczej przepadłeś na wieki!

Powiedziawszy to, Basawrjuk rozdzielił sękatą laską krzak tarniny, i ukazała się przed nimi chałupinka na kurzych nogach.

Basawrjuk uderzył pięścią; poruszyła się ściana. Wielki, czarny pies poskoczył ku nim, lecz momentalnie przemienił się w kota, który rzucił się im do oczu.

— Nie bieśże się, nie bieś, djablico stara! — ozwał się Basawrjuk. Z kota zrobiła się stara baba, pomarszczona cała, jak pieczone jabłko, zgięta, jakoby podkulek, z nosem i brodą, podobnemi do szczypiec, któremi gniotą orzechy.

— Ale ci to śliczna baba! — pomyślał Piotruś i mrówki przeszły po jego skórze.



Wiedźma wyrwała kwiatek z jego ręki, nachyliła się nad nim i coś długo szeptała i kropiła go dziwną jakąś wodą. Iskry posypały się z jej gęby i pokazała się piana na jej wargach.

— Rzuć! — rzekła, oddając kwiatek Piotrusiowi.

Piotruś wykonał polecenie wiedźmy, lecz jakże się zdziwił, kiedy zobaczył, że kwiatek nie upadł, lecz płynął długo w powietrzu, jak ognista kula; poczem zaczął się opuszczać i coraz niżej i niżej, a był już tak daleko, że wyglądał jak maleńka gwiazdeczka, wielkości makowego ziarnka.

— Tutaj! — zaskrzeczała głucho wiedźma, a Basawrjuk, podając Piotrusiowi łopatę, rzekł:

— Kop Piotrusiu tutaj, a zobaczysz tyle złota, ile ani tobie, ani Korży się nie śniło!

Piotruś, plunąwszy w dłonie, złapał za łopatę i nacisnął ją nogą. Wyrzucił ziemię raz i drugi, a za trzecim razem natrafił na coś twardego. Nacisnął silniej, ale łopata nie chciała leść w ziemię. Odrzucił jej nieco z wierzchu i oczom jego ukazała się nie duża, żelazna, okuta skrzynka. Piotruś chciał ją wyciągnąć rękami, ale skrzynka poczęła się zagłębiać coraz bardziej, a Piotruś usłyszał poza sobą śmiech, podobny do syku węża:

— Nie, nie! Nie zobaczysz ty złota, dopóki nie dostarczysz krwi ludzkiej! — mówiła wiedźma i prowadziła ku niemu dziecię około sześcioletnie, okryte białem nakryciem, przyczem dawała Piotrusiowi ręką znaki, by dziecięciu temu odciął główkę.

Piotruś osłupiał. (Dokończenie nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Światowa produkcja zboża.

Z rynków zagranicznych nadchodzą wiadomości, że światowy urodzaj w roku bieżącym zapowiada się gorzej, niż w roku ubiegłym, a zapasy głównych zbóż zostały przecenione wzwyż. W Rumunji w całym szeregu powiatów spadł grad oraz obfite deszcze. Ponadto pojawiła się też szarańcza. Niebezpieczeństwo, jakie z tego tytułu zagrażało zasiewom i drzewostanowi w Rumunji, zostało dzięki przedsięwzięciu energicznych środków zlokalizowane. We Włoszech nawalnica gradowa wyrządziła wielkie szkody, niszcząc prawie zupełnie w niektórych okręgach zboże na pniu. Straty, według obliczeń syndykatów rolniczych, wynoszą zgórą 30 milj. lirów. Na zachodzie Europy padają wciąż jeszcze deszcze. O ile potrwa to jeszcze 2—3 tygodnie, to temperatura obniży się znacznie, wskutek czego może w tym kierunku nastąpić dalsze pogorszenie. Zważywszy jednak, że z poprzednich zbiorów pozostały jeszcze wielkie zapasy zbóż, nie odbije się fakt ten poważnie na ogólnej sytuacji.

Możliwość zbytu żyta do nowych żniw przedstawia się obecnie, jak następuje: w Norwegji — 20—40 tys. ton, w Danji 20—30 tys. t. w zależności od zdolności konkurencyjnej żyta z jęczmieniem i kukurydzą, w Belgji i Holandji — 5—15 tys. ton. Ponadto Szwecja, Finlandja, Łotwa i Estonja potrzebować będą od 20 do 30 tys. ton żyta. Są to jednak przewidywania nie uwzględniające konkurencji rosyjskiej, której posunięcia okryte są tajemnicą. Ostatnio Rosja sprzedała na rynkach północnych około 30 tys. ton żyta po cenie 5 guldenów holenderskich.

Co się tyczy pszenicy, to o ile zbiory jej będą stały w Polsce na poziomie ubiegłego roku, zajdzie potrzeba znalezienia na nią zbytu na obcych rynkach. Obecnie za naszą pszenicę białą najlepszą można osiągnąć guldenów holenderskich 9—9.20, za żółtą półszklistą 9—9.30. Jako domieszka do amerykańskich pszenic twardych, polska pszenica znalazłaby nawet łatwy zbyt, o ile zawiodą zbiory w Hiszpanji, Francji i Włoszech. Dla owsa przewiduje się w tym roku trudny zbyt, jedynie pierwszorzędne gatunki będą poszukiwane dla wyrobu płatków owsianych. Zbyt owsa pastewnego utrudni jęczmień i kukurydza oraz owies kanadyjski i argentyński.

Na jęczmień pastewny tendencja jest niepomyślna i nie przewiduje się poprawy, gdyż z jednej strony niesprzedane dotychczas znaczne ilości jęczmienia rumuńskiego utrudniają zbyt naszego, z drugiej zaś do konkurencji staje kukurydza, której Rumunja posiada jeszcze 2 milj. ton, oraz argentyńska, której zapas obliczają na 10 milj. ton. Pomyślniej przedstawia się konjunktura na jęczmień browarniany. Zbyt nań znajdzie się zapewne w Norwegji, dokąd już obecnie jest eksportowany. Konkurencję jednak

poważną stanowi jęczmień duński, nieco wilgotniejszy od polskiego. Temu ostatniemu odbiorcy zarzucają jednak, że jest niejednolity.

Ceny pszenicy w Berlinie i w Chicago zwyżkują. W handlu żytem w ostatnich dniach zarysowuje się również mocna tendencja w Chicago i w Berlinie.

Rynek krajowy nie wykazuje większych zmian. Panująca od szeregu tygodni słaba tendencja, utrwala się wskutek dużej podaży i braku zainteresowania.

Poradnik lekarski.

Reumatyzm.

Reumatyzm jest najniebezpieczniejszy dlatego, że nie grozi w swych skutkach bezpośrednio śmiercią. Brzmi to może nieco paradoksalnie, może jest przesądzone, jednak nie jest pozbawione racji.

Reumatyzm w swych początkach jest trudny do dostrzeżenia. Gdzieś tam coś kogoś łamie lub pobolіwa, potem przejdzie i spokój. Jeżeli nawet dolegliwości wystąpią silniejsze, to kupuje się rozmaite maście, lub płyny i smaruje. Czasem pomoże, czasem nie. Jeżeli bóle są silniejsze, to idzie się do lekarza, lecz w przeważnej części wskazań jego nie przestrzega się należycie. Bo przecież od reumatyzmu się nie umiera.

Takie lekceważenie tej dolegliwości sprawiło, że dziś na reumatyzm choruje półtora raza więcej ludzi niż na gruźlicę. Statystyka wykazała, że w Anglji szósta część inwalidów niezdolnych do pracy zawdzięcza to reumatyzmowi. Choroba ta kosztuje Anglję trzy miljony dni roboczych rocznie. Straty Niemiec z powodu reumatyzmu wynoszą rocznie 80 miljonów marek, a jeśli dodać do tego wydatki Kas Chorych na leczenie reumatyków, to straty te dojdą do olbrzymiej sumy 250 miljonów marek. Statystyki polskiej nie mamy pod ręką, można być jednak pewnym, że sprawa ta nie przedstawia się u nas lepiej.

Powyższy stan spowodował, że leczenie reumatyzmu poczęły państwa traktować jako problem ogólny a walka z nim stała się tak samo ważną jak np. z gruźlicą. Leczenie reumatyzmu nieda się uskutecznić w domu. Najlepsze wyniki daje pobyt w uzdrowiskach, przedewszystkiem kąpiele siarczane. Zagranicą w takich Piszczanach, Wiesbadenie i t. d. pobudowały już Kasy Chorych własne sanatorja, w których leczą swych członków. Szczególnie ważnem jest, aby zacząć reumatyzm leczyć zaraz w jego początkach. Wówczas można się bowiem łatwo go pozbyć. Natomiast leczenie zastarzałego jest trudniejsze i wymaga więcej czasu.

W Polsce mamy pierwszorzędne uzdrowiska, w których można skutecznie pozbyć się reumatyzmu. Z uzdrowisk bogatych w siarkę wymienić należy przedewszystkiem Lubień Wielki koło Lwowa, Swoszowice, Szkło. Z innych Ciechocinek, Inowrocław, Busk, Iwonicz, Rabka, Truskawiec.

Wyjazd więc zagranicę nie jest potrzebny. Kto pragnie jednak pozbyć się reumatyzmu musi się zabrać do leczenia i to im prędzej tem lepiej.

Nogi zimne. Są zwykle u osób osłabionych, niedokrewnych, a zwłaszcza na złe trawienie cierpiących. Leczenie: używać ruchu, nogi ubierać ciepło, smarować spirytusem mrówkowym, lub rumem. Kąpiele zmienne, t. j. najpierw kończyny dolne zanurza się do połowy łydek w gorącej wodzie na minut dziesięć, a potem do zimnej, do kostek, na 1 minutę i czyni się to 3 razy bezpośrednio po sobie, kończąc zawsze kąpielą zimną.

KRONIKA.

Od Administracji. Do następnego numeru „Roli" dołączymy czeki wszystkim kwartalnym i półrocznym Prenumeratorom naszym.

Zwołanie Senatu. Trzydziestu kilku senatorów opozycyjnych wystosowało do Pana Prezydenta pismo z prośbą o zwołanie Senatu. Pomimo, że nikt nie może zgadnąć, coby zwołany Senat robił, kiedy Sejm nie obraduje, Pan Prezydent stosownie do wymagań konstytucji Senat zwołał. A teraz pytanie, czy senatorowie, przyjechawszy do Warszawy, dowiedzą się, że cotylko zwołany Senat został odroczony, jak to było z Sejmem, czy też odbędą jakieś posiedzenie, na którem przynajmniej opozycja będzie się mogła wygadać. Jednem słowem zabawka, ale zabawka zbyt kosztowna i przykra.

Zmiany po uzupełniających wyborach. Dotychczasowe zestawienia zmian po wyborach uzupełniających do Sejmu w okręgu sandomierskim i łuckim oraz po sprostowaniu wyników w okręgu tarnopolskim przedstawiają się następująco: Stronnictwo chłopskie uzyskało 6 mandatów, Blok mniejszości narodowych 3 mandaty, Stronnictwo narodowe 2 mandaty, radykali ukraińscy 1 mandat. Natomiast straciły mandaty: BB. 7, PPS. 2, Wyzwolenie 1, Ch.-D. 1, Selrob 1. Skutkiem zmiany w układzie mandatów nastąpi również zmiana przydziału mandatów z listy państwowej. Skutkiem tego utracą mandaty Alfred Birkenmayer i prof. Kozłowski ze Lwowa (BB).

Zgon Zosi Smreczyńskiej. W jednym z poprzednich numerów „Roli" podzieliliśmy się z Czytelnikami smutną wiadomością o śmierci poety Podhala Władysława Orkana, który w rzeczywistości nazywał się Franciszek Smreczyński. W chwili zgonu poety jedyna jego córka Zofja leżała dogorywająca w szpitalu. Młode dziewczę zdradzało również wybitny talent poetycki, ale nie danem jej było zabłysnąć jaśniej na widowni świata, gdyż nieubłagana śmierć przecięła pasmo jej żywota. Ciało zmarłej przewieziono do wioski rodzinnej i tam pochowano na wiejskim cmentarzu. Ś. p. Zofja Smreczyńska była panienką wykształconą, gdyż ukończyła gimnazjum, zdała maturę i zamierzała kształcić się dalej. Niestety, śmierć przecięła wszystkie marzenia młodego dziewczęcia. O tej to Zosi Smreczyńskiej i jej pamięci poświęcony zamieszczamy dzisiaj na stronie 4 smętny wierszyk Jacka Orlika.

Tragedja miłosna. Wstrząsająca tragedja miłosna rozegrała się w Oświęcimiu. Dwudziestoletni pomocnik piekarski Abraham Jerut z Katowic zakochał się w córce bogatego kupca w Oświęcimiu, 21-letniej Chaji Braunerównej. Rodzice panny nie chcieli jednak nic wiedzieć o tym stosunku i dać zezwolenia na pobranie się zakochanych. Gdy Jerut przyjechał do Oświęcimia w odwiedziny do ukochanej, ojciec jej nie pozwolił mu widzieć się z nią i oświadczył kategorycznie, że z planów małżeńskich nic nie będzie. Jerut wziął sobie to oświadczenie tak bardzo do serca, że wrócił na dworzec i tam w oczach znajdującej się na peronie publiczności rzucił się pod nadjeżdżający pociąg, który go zmiażdżył doszczętnie. Braunerówna, dowiedziawszy się o tem, wypiła dużą dozę esencji octowej i w drodze do szpitala zmarła.

Napad bandycki na wieśniaka. Gospodarz Stefan Oleszański, zamieszkały w Bachowie (pow. przemyski) zawiadomił posterunek policyjny, że padł ofiarą napadu zamaskowanych bandytów. Wedle opowiadania Olszańskiego, zjawili się owi bandyci na podwórzu, gdzie oddali dwa strzały na postrach, poczem wyważywszy

przemocą drzwi, wtargnęli do wnętrza domu. Tam jeden z bandytów, a było ich trzech, uderzył żonę Olszańskiego, Marję, kijem w rękę, następnie w obecności przerażonych domowników, którzy stali zupełnie bezradni i oniemiali ze strachu, porwali napastnicy kufer i zbiegli do pobliskiego lasu, uciekając z łupem w kierunku Chyrzyny. W kufrze tym miała się znajdować cała gotówka Olszańskiego w kwocie 147 dolarów oraz 20 zł. i garderoba odświętna rodziny. Policja zarządziła energiczny pościg, jednakowoż dotychczas na ślady bandytów nie natrafiła.

Krwawa masakra na weselu. Częste, niemal codzienne ponure wypadki morderstw, grabieży na wsi są smutnym i nad wyraz przykrym objawem powojennego zdziczenia moralności części społeczeństwa wiejskiego. Ilustracją tegoż jest mrożący krew w żyłach wypadek, jaki ostatnio wydarzył się we wsi Horucko, w pow. drohobyckim. W miejscowości tej w mieszkaniu Mikołaja Biłakiwa odbywała się zabawa weselna, upływająca w miłym i weselnym nastroju. Nagle stała się rzecz straszliwa. Mianowicie jeden z uczestników zabawy, Jurko Czaryj, zamieszkały w pobliskich Medenicach, z furją rzucił się z nożem w ręku na Biłakiwa, zatapiając zbrodnicze narzędzie głęboko w obojczyk ofiary, która wskutek tego, słaniając się, runęła na ziemię, zalewając się krwią. Działo się to w chwili, gdy muzyka grała skocznego mazurka. Świadkowie tej ohydnej sceny usiłowali dokonać samosądu nad zbrodniarzem. Sprawca jednak, widocznie żądny widoku krwi, przywołał brata swego Hrynia i wespół z nim rzucił się na przerażonych gości, dokonując ohydnej masakry. Z dziką furją poczęli rąbać nożami na prawo i lewo, tak, że wkrótce cała sala przedstawiała jedno morze krwi. Poranionych zostało niebezpiecznie 6 osób. Biłakiw, ugodzony pierwszy nożem w obojczyk, zmarł wkrótce wśród straszliwych mąk. Zwłoki jego odstawiono do kostnicy cmentarnej. Ciężej rannych przewieziono do szpitala, lżej rannych, po opatrzeniu ran, pozostawiono opiece domowej. Po przesłuchaniu kilku świadków na miejscu i spisaniu protokołu, policja przyaresztowała sprawców mordu i masakry Hrynia i Jurka Czaryjów, i odstawiła ich do sądu w Medenicach. Dalsze śledztwo w toku.

Tragiczna śmierć księżnej Radziwiłłowej. W ubiegłym tygodniu na rogu ulicy Daniłowiczowskiej i Bielańskiej w Warszawie nieostrożny rowerzysta potrącił przechodzącą przez jezdnię 70 letnią Marję Ewę Radziwiłłową, stryjenkę księcia Janusza Radziwiłła. Staruszka, upadając na bruk uliczny, złamała nogę i doznała wstrząsu mózgu. Przewieziona do lecznicy, księżna nie odzyskawszy przytomności, zmarła. Sprawcą karygodnego czynu był 18 letni Stanisław Spyra, pracownik rzemieślniczy. Ustalono, że nie miał on pozwolenia jazdy i jechał na cudzym rowerze. Aresztowanego oddano do dyspozycji sędziego śledczego.

Niemowlę z brodą. W miejskim zakładzie położniczym w Warszawie niejaka Magdalena Kozerek powiła dziecko płci męskiej z dość dużym zarostem na brodzie i wargach. Pozatem dziecko jest zupełnie normalne.

Katastrofalna burza. Nad Kaliszem przeszła w ubiegłym tygodniu straszna burza. Około godziny 6 po południu w Kaliszu i okolicy nastąpiła zupełna ciemność. Jednocześnie zerwał się silny wiatr, który niebawem przekształcił się w huragan i w rzęsistą ulewę. W parku połamał huragan wiele drzew. W czasie nieszporów uderzył piorun w kościół Pobernardyński. Grom ugodził w dwie lampy wiszące i zgasił je. Klęcząca pod lampą pewna wdowa doznała ciężkich poparzeń. Pod Kaliszem piorun ugodził w drzewo, pod które schroniło się kilka osób. Jeden z mężczyzn doznał ciężkich oparzeń i przewieziony został do szpitala. We wsiach pod Kaliszem spadł grad wielkości czereśni.

Zbójecka rozprawa na wsi. We wsi Pogorzele w pow. tomaszowskim, na tle porachunków osobistych między J. Druszczem a T. Koselnikiem i St. Półtorakiem wynikła bójka, w czasie której Druszcz został dotkliwie pobitym. Żona Druszcza wszczęła alarm. Nadbiegło kilku sąsiadów, a widząc jak Półtorak i Koselnik okładają kłonicami Druszcza, chwycili za widły i kosy i stanęli w obronie Druszcza. Wywiązała się walka.



Skończyło się na tem, iż St. Półtorak doznał nadwerężenia czaszki wskutek uderzenia kosą i w oczach rozwścieczonej bandy życie zakończył. Na widok trupa wszyscy się rozbiegli. Aresztowano Wawrzyńca Półtoraka, St. Karolaka, Romana i Franc. Nowaka, jako sprawców zbrodniczej rozprawy. Sekcja zwłok zabitego wykazała, iż oprócz pękniętej czaszki, co było powodem śmierci, ma na ciele 21 ran ciętych, zadanych ostrem narzędziem, głębokości do 7 cm. Lekarz stwierdził u drugiego uczestnika śmiertelnej bójki Koselnika siedm ran ciętych z przeciętemi mięśniami, odrąbanemi trzema palcami i zmiażdżonym stawem barkowym. Aresztowanych osadzono w więzieniu.

Krwawy spór o ziemię. Z Poznania donoszą o krwawej tragedji, która rozegrała się w ubiegłą środę w okolicy Gniezna i która miała za tło nierzetelną transakcję ziemią. Reemigrant z Ameryki, Tadeusz Kasprzak, zawarł z Józefem Czają w Piekarach umowę o nabycie jego gospodarstwa za cenę 37 500 zł. Na realności tej miał — według oświadczenia Czaji — ciążyć dług w wysokości 7.000 zł. Zanim jednak doszło do ostatecznego objęcia przez Kasprzaka własności Czaji, Kasprzak stwierdził, iż obciążenie tej realności wynosi nie 7 tysięcy lecz 22 tysiące zł. wobec czego postanowił zerwać umowę i zażądał zwrotu wpłaconych na poczet kupna 17 tysięcy zł. W czasie sprzeczki, która wybuchła między Kasprzakiem a Czają, Kasprzak wystrzałem z rewolweru zastrzelił Czaję, poczem zaczął uciekać w stronę Gniezna. Podczas pościgu padł strzał. Kasprzak został zabity. Nie stwierdzono na razie, czy Kasprzak sam popełnił samobójstwo, czy też strzał padł skądinąd. Policja prowadzi dochodzenia.

Ślub w więzieniu. W więzieniu na Łukiszkach w Wilnie odbyła się niezwykła ceremonja ślubna. Jeden z więźniów oskarżony o zamordowanie dziecka, wstąpił w związki małżeńskie z dziewczyną, którą w swoim czasie uwiódł. Więzień ten, nazwiskiem Mosza Szulkin, ujęty został w styczniu roku bieżącego, gdy niósł walizkę ze zwłokami dziecka. Aresztowany Szulkin usiłował wciągnąć we współwinę dziewczynę, która była matką dziecka i ojca, handlarza z Ejszyszek. Śledztwo ustaliło jednak, że Szulkin zabrał dziecko w celu zao-

piekowania się niem, a znalazłszy się w mieszkaniu, poćwiartował je, wsadził zwłoki do walizki, a następnie udał się do rzeki w celu wrzucenia do niej walizki.

Pożary w Polsce. W ostatnich dniach wzrosła niepokojąco liczba pożarów na obszarze całego państwa. W porównaniu z latami ubiegłemi ilość pożarów na wsi wzrosła prawie w dwójnasób. Przyczyny pożarów przeważnie trudno ustalić. Jak wykazuje statystyka, liczba pożarów idzie w górę wraz z wrostem ilości posesyj ubezpieczonych od ognia. Nie ulega wątpliwości, że w przeważnej części wypadków pożar powstaje z podpalenia Duży wpływ na rozmiary klęski pożarów ma również brak zorganizowanych straży ogniowych, studzien z wodą i chociażby prymitywnych urządzeń ratowniczych. W ministerstwie spraw wewnętrznych projektowane jest utworzenie specjalnego funduszu na ten cel, lecz sprawa ta, wymagająca specjalnej ustawy, nie została dotychczas załatwiona. Ministerstwo spraw wewn. wydało specjalne polecenie policji, aby w wypadku pożaru przeprowadzano skrupulatne dochodzenia celem ustalenia przyczyny pożaru i ewentualnego wyśledzenia winnych podpalenia.

Straszne skutki wojny. Według danych, opracowanych przez Ministerstwo Pracy i Opieki społecznej, na dzień 1-go stycznia 1930 r. zarejestrowanych było na ziemiach Polski 136.843 osób, nad któremi ciąży straszne dziedzictwo wojny — kalectwo, ślepota, niezdolność do pracy i inne upośledzenia fizyczne i moralne. Oto jak się przedstawia podział na kategorje tych nieszczęśliwych ludzi, którym moloch wojny zabrał całą radość życia: zdrowie i zdolność do pracy. Całkowicie lub częściowo utraciło zdolność do pracy 99 252 inwalidów skutkiem uszkodzeń cielesnych, 7.500 skutkiem chorób zakaźnych i gruźlicy, 1.340 wskutek komplikacyj po tych chorobach, 1.340 skutkiem utraty wzroku, 1.340 skutkiem chorób umysłowych, wreszcie 26.263 skutkiem innych chorób. Inwalidów ciężko poszkodowanych, to znaczy tych, którzy stracili ponad 45 proc. zdolności do pracy, jest w Polsce 28.281. Wymowa tych strasznych cyfr uwydatnia się tem jaskrawiej, gdy uwzględnimy, że cyfry te zebrano w 10 lat po ustaniu zawieruchy wojennej. A iluż dotkniętych kalectwem zmarło w ciągu tych 10-ciu lat skutkiem wycieńczenia chorobami i zniechęcenia do życia.

Zbrodnie mordercy z Düsseldorfu. Jak donoszą z Düsseldorfu, policja kryminalna zakończyła przesłuchiwanie masowego mordercy Piotra Kurtena. W końcowem stadjum śledztwa Kurten przyznał się do szeregu zbrodni, popełnionych między rokiem 1921 a 1925 w Turyngji. Po dłuższem wypieraniu się, przyciśnięty do muru, przyznał się Kurten, że w tym okresie dokonał dwóch mordów, a to na 20 letniej dziewczynie i 75 letniej kobiecie, oraz 4 usiłowanych mordów i jednego podpalenia. Krwawy bilans zbrodniczej działalności Kurtena zamyka się cyfrą 11 morderstw, 35 usiłowanych morderstw i 20 podpalań, nie licząc różnych drobniejszych zbrodni, jak włamania, kradzieże i t. p.

Ląd. który zanika. Dzienniki niemieckie donoszą, że wyspa Helgoland, niegdyś dosyć uczęszczane miejsce kuracyjne, a która następnie odgrywała rolę niemieckiej Malty na morzu Północnem, stopniowo zanika w jego falach. Obecnie, mimo istnienia ochronnego muru, nastąpiło oberwanie się wielkiego złomu, ziemi, co grozi dalszą katastrofą tak, że należy się liczyć z powolnem zapadnięciem się całej wyspy w ciągu pewnego okresu czasu.

Zuchwały rabunek. Z Lipska donoszą, że na gońca bankowego, przechodzącego przez rynek w samo południe i niosącego w ręku torbę z 15 ma tysiącami marek, dokonano niezwykle zuchwałego napadu rabunkowego. W chwili, gdy posłaniec minął ratusz, podjechał do niego samochód, z którego wyskoczyli zamaskowani bandyci i dali dwa strzały, raniąc posłańca w brzuch i kolano. Bandyci porwali następnie torbę z pieniądzmi, wskoczyli następnie do samochodu i szybko odjechali. Motocyklista, przejeżdżający przez rynek, rzucił się w pogoń za samochodem bandytów, któremu zagrodzili drogę robotnicy, pracujący przy naprawie ulicy. Bandyci dali szereg strzałów, raniąc ciężko jednego z robotników. Nie mogąc uciekać dalej samochodem z powodu rozkopania bruku, bandyci wskoczyli do przejeżdżającego tramwaju. Policja stwierdziła, że samochód, którym posługiwali się bandyci, został poprzedniej nocy skradziony Manuelowi de Forenda, attache poselstwa hiszpańskiego w Berlinie.

Tajemnicza banda świętokradców. Lotaryngja jest od pewnego czasu widownią niezwykle śmiałych włamań, których dokonują niewykryci dotąd zbrodniarze w rozmaitych kościołach. Fakty te powtarzają się tak masowo, iż obecnie w różnych miejscowościach mieszkańcy zamykają się na całą noc w kościołach. gdzie trzymają straż, aby móc w danej chwili przyłapać zbrodniarzy na gorącym uczynku, Przed paru dniami ofiarą napadu padł kościół w Noisseville w okręgu Metzu. W kościele w Rąnguevaux śmiałość swą posunęli włamywacze do tego stopnia, iż zerwali nawet dzwon z wieży kościelnej. Początkowo zbrodniarze zadawalali się przeważnie wypróżnianiem skarbonek kościelnych. Wobec tego jednak, że księża proboszczowie, zorjentowawszy się w sytuacji, codziennie wieczór zabierają zawartość skarbonek, złoczyńcy rzucają się chciwie na wszystko. co im wpadnie pod rękę. Policja, śledząca tę sprawę, natrafiła narazie na ślad włamywaczy kościelnych o tyle tylko, iż wiadomem jej jest, że banda ta składa się z trzech mężczyzn i jednej kobiety, którzy posługują się samochodem dla składania „wizyt" w poszczególnych kościołach.

Tragiczne następstwa żartu ulicznika. W prowincji Fryzji w Holandji wydarzyła się onegdaj straszna katastrofa, spowodowana głupim żartem jakiegoś ulicznika. Autobus pasażerski, kursujący między miastami Braneker a Sneek, zbliżył się do kanału w chwili, gdy most na kanale otwarty był dla przejazdu okrętów. Jakiś nieznany chłopiec podniósł barjerę, zamykającą wjazd na most w czasie gdy jest otwarty. Szofer autobusu, sądząc, ze przejazd jest wolny, wjechał na most i runął z autobusem do kanału. Z pasażerów autobusu trzy osoby poniosły śmierć przez zatonięcie. Szofera i dziesięć innych osób uratowano. Dwaj pasażerowie ciężko ranni.

Powódź w Hiszpanji. Skutkiem ulewnych deszczów, rzeka Vena w Hiszpanji wystąpiła z brzegów, zalewając część miasta Burgos, głównie niżej położone przedmieścia. W niektórych ulicach woda dosięgała metrowej wysokości. Musiano pozamykać sklepy i zabezpieczyć je przed naporem wód workami z piaskiem i cementem. Od 11 czerwca 1873 r. nie notowano podobnego wylewu w Hiszpanji. Rzeka unosi z sobą bydło, dobytek mieszkańców i t. d. Straty spowodowane wylewem, są bardzo poważne.

Nowy król rumuński. Po śmierci króla Ferdynanda rumuńskiego prawnym następcą tronu był syn jego Karol, ożeniony z księżniczką grecką Heleną. Ówczesny jednak prezydent Rady ministrów Bratianu w porozumieniu z matką księcia Karola pozbawił go tronu, rozwiódł z żoną i naznaczył na następcę maleńkiego synka Karola i Heleny, księcia Michała. Ponieważ mały chłoptaś nawet bawić się jeszcze nie umiał, a nie

dopiero rządzić, więc utworzono Radę regencyjną, która za młodocianego króla miała sprawować władzę. I tak było kilka lat. Dopiero gdy na czele rządu stanął przewódca stronnictwa chłopskiego, Maniu, sytuacja się zmieniła. Maniu wiedział, że Rada regencyjna nie ma tego znaczenia, jakie może mieć król, to też w największej tajemnicy porozumiał się z księciem Karolem, będącym od śmierci ojca na wygnaniu i zawezwał go do powrotu do ojczyzny. Ks. Karol wezwania usłuchał i najniespodziewaniej dla całego rumuńskiego społeczeństwa przyleciał samolotem w wigilję Zielonych Świątek do Bukaresztu. Jakkolwiek zjawienie się jego w Rumunji było dla całego świata niespodzianką, to oczekiwał na nie rząd rumuński, który bezzwłocznie zwołał zgromadzenie narodowe, a to ogłosiło księcia Karola królem, zaś młodziutki król Michał odtąd jest tylko następcą tronu. Z wyjątkiem stronnictwa liberalnego cały naród rumuński zmianę tę przyjął z zadowoleniem.

Pożar okrętu z naftą. Z Bostonu w Ameryce donoszą: Z powodu gęstej mgły parowiec pasażerski „Fairfax“ zderzył się na pełnem morzu ze statkiem-cysterną, wiozącym znaczniejszy transport nafty. Niezwłocznie po zderzeniu statek ten ogarnęły płomienie, które buchały również na „Fairfax'a“, parząc dotkliwie kilkunastu pażerów i członków załogi. Pasażerowie ci, skoczyli do wody, lecz płonąca nafta rozlała się na powierzchni morza, nieszczęśliwi więc ponieśli straszną śmierć. Naoczny świadek opowiada, że znajdował się na pokładzie „Fairfax'a“, gdy nastąpiło zderzenie. Ujrzał wówczas, jak strumienie płonącej nafty spadły na kilkanaście osób, które w nadziei ratunku rzuciły się w morze. Próby ratowania okazały się niemożliwemi, gdyż statek przedstawiał morze płomieni i nader szybko zatonął. Nazwa statku jest dotychczas nieznana. Na pokładzie jego było około 40 marynarzy. Z pośród załogi „Fairfax'a“ brakuje 11 marynarzy oraz 7 pasażerów.

Żebrak z samochodem. Pewien policjant dokonał niedawno ciekawego odkrycia na ulicach przedmieścia nowojorskiego Mount Vernon. Zauważył on, jak za żebrakiem, zbierającym datki od przechodniów, jechał w pewnym oddaleniu bardzo elegancki samochód z szoferem w liberji. Okazało się, że samochód ten należał do żebraka, 27-letniego inwalidy, którego aresztowano za zawodowe uprawianie żebraniny. W sądzie podał żebrak, że w dniu aresztowania zarobił 400 złotych, a w ostatnich dwu tygodniach wpłacił do banku na swoje konto około 3 000 złotych. Sąd uwolnił go od kary, ponieważ jest rzeczywistym inwalidą. Żebrak odjechał z sądu swojem wspaniałem autem.

Straszny szkodnik. Hodowcom owoców dobrze jest znana mucha owocowa, pochodząca z krajów leżących nad morzem Śródziemnem. Mucha ta przedostała się w roku ubiegłym do Stanów Zjednoczonych, na Florydę i rozmnożyła się tam niesłychanie, pomimo wytężonej walki, jaką prowadzą z nią wszyscy hodowcy owoców. Wszelkie środki walki zawodzą dotychczas. Jest to jakby szarańcza owocowa. Owad rozmnożył się do tego stopnia, że cała produkcja owoców zamarła. Wskutek depresji gospodarczej 23 banki zostały zrujnowane i ogłosiły niewypłacalność. W roku bieżącym przystąpiono do dalszej walki ze szkodnikiem zapomocą bardzo surowych przepisów. Władze niszczą bezwzględnie wszystkie owoce, co do których jest podejrzenie, że umieściła w nich swoje jajeczka mucha śródziemnomorska. Wywóz owoców z Florydy został surowo zakazany, a te transporty, które uprzednio wysłano do innych stanów, są śledzone i niszczone. Zaraza grozi dalszem rozszerzeniem się. Na walkę ze straszną muchą wydano już 5 miljonów dolarów.

RZECZY CIEKAWE.

Biały słoń.

W Siamie urodziła zwykła, robocza samica słonia, białe słoniątko. Gdy wieść się o tem rozniosła, zamianowano ją natychmiast „państwowym słoniem“.

W krótkim już czasie, gdy wyrośnie przedstawią to zwierzę podczas uroczystej ceremonji królowi Siamu. Będzie to uroczystość, którą obchodzi się tam od niepamiętnych czasów.

W Europie taka okazja rzadka — możemy zresztą użyć silniejszego wyrażenia, i powiedzieć: taki cud, — staje się kwestją pieniężną. Wśród „dzikich“ jeszcze ludzi jest się bliżej natury i jej cudów, jest się jeszcze związanym niejako z przyrodą, i czci się ją.

Niewymagające stworzenia.

Do najmniej wymagających stworzeń w naturze należą glisty. Mogą naprzykład żyć sześć tygodni zamknięte w puszce blaszanej wypełnionej odrobiną wilgotnego mchu.

I cóż im z tego, że są tak mało wymagające? Oto pakuje się je do takich puszek (sprytny Amerykanin założył na swej farmie formalną hodowlę glist) i rozsyła się je na sprzedaż.

Amerykanin z pasją lubi łowić ryby. Gdy wybiera się na wywczasy tam, gdzie jest rzeka, z pewnością zapakuje także na drogę wędkę i taką puszkę z glistami. Glisty, jak wiadomo, nadziewa się na haczyk wędki, służą jako wabik dla głupiej rybki.

Salon piękności psów.

Przy jednej z ulic paryskich otworzył młody weterynarz „salon piękności psów“. Codziennie od wczesnego ranka zatrzymuje się przed salonem długi szereg samochodów i eleganckie paryżanki lub ich lokaje przywożą tam kudłatych ulubieńców. Sztab specjalistów pracuje nad estetyczny wyglądem piesków. Masażyści nadają elastyczność psim członkom, fryzjerzy ondulują czworonożnych elegantów, dentyści czyszczą pieskom zęby, a inni specjaliści dbają, aby pan Fox lub Pudelek merdał zgrabnym i puszystym ogonkiem.

W ostatnich czasach wchodzi moda, aby eleganckie pieski miały złote korony na zębach. Szczególnie pięknie wyglądać mają buldogi z tem złotem uzębieniem.

Pływające nietoperze.

W związku z badaniami plaentologicznemi nad stosunkami biologicznemi, odnoszącemi się do latających gadów epoki kredowej i jurajskiej, które jak wiadomo były zwierzętami wodnemi, wykonano szereg eksperymentów nad zdolnością pływania nietoperzy.

Otóż, przy tej sposobności kilku badaczy, jak dr. O. Herz, Wiman i Kolthoff, stwierdziło, że nasze nietoperze pływają wcale dobrze, skoro znajdą się w środowisku wodnem. Podczas pływania wykonują ruchy błoną lotną, podobnie jak przy lataniu, tylko oczywista nie tak wydatne ze względu na większą gęstość środowiska. Ruchy błony lotnej nie są też równomierne, lecz na zewnątrz są one o wiele energiczniejsze, rezultatem czego jest ruch zwierzęcia ku

przodowi. Z powierzchni wody wzlecieć do góry nietoperz nie jest w stanie. Zaznaczyć należy, że Brehm wspomina o nietoperzach Ameryki północnej, które gdy znalazły się przypadkowo w rzece np. postrzelone, to mimo silnego prądu wody zdołały zawsze dobić do brzegu.

Dziwaczne fantazje wielkich ludzi.

Lope de Vega, autor 200 sztuk teatralnych, powziął pewnego razu zamiar napisania noweli, w której ani razu nie użył litery a. Kiedy dokonał tego dzieła, choć zdawało się to zgoła niemożliwem, wobec wielkiego zapotrzebowania tej samogłoski, to wzbudził znowu wielki podziw skomponowaniem noweli, w której nie było ani jednego e. Trzecia z kolei musiała się obyć bez i, czwarta — bez o, a piąta bez u.

Średnie wieki lubowały się w takich dziwactwach. Poeta Pierius napisał poemat o Chrystusie, gdzie każdy wyraz zaczynał się od litery c, a drugi od m.

Nikt jednak nie notuje, by te dzieła były interesujące i przyniosły jakąś korzyść literaturze.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Piotr Śliwa:** Co i kiedy zamieszczamy w „Roli", zależy to od wielu okoliczności. Gazetka przecież nie jest na to, aby zamieszczać wszystko co kto nadeśle. Jeżeli otrzymamy rzecz dobrą, to nie zwlekamy z jej drukiem, natomiast rzeczy słabsze muszą dłużej czekać na swą kolej. Niewiele posiada ten talentu, kto się zraża do pisania, jeżeli się mu wierszyka nie wydrukuje; prawdziwy poeta pisze, gdyż jakiś wewnętrzny pęd pcha go do tego. A nawet wielcy poeci czekali latami na wydrukowanie swych utworów. Nie jest to więc ani niesprawiedliwość, ani gruby błąd, ale zwykła kolejka losu. Zarzut, żeśmy obiecywali drukować najpierw utwory konkursowe a potem inne, jest również niesłuszny, gdyż w rzeczywistości wydrukowaliśmy większość utworów konkursowych, w tece zaś mamy ich niewielką ilość i na druk ich mamy jeszcze kilka miesięcy czasu, bo aż do następnego konkursu. Jeżeli coś czynimy tak a nie inaczej, to widocznie mamy do tego uzasadniony powód. Gdyby Pan był redaktorem gazety, zapewne również inaczejby postąpić nie mógł. Trzeba jednak znać powody, a każda rzecz ma inny powód. — **H. Wiatrozmienny** w S.: Nowelkę otrzymaliśmy, z powodu jednak nawału pracy nie zdołaliśmy jej jeszcze przeczytać. — **Franciszek Surówka** w K.: Obydwa wierszyki zupełnie dobre, ale ten o akacjach już tego roku drukowany być nie może, gdyż akacje już przekwitły. Drugi postaramy się zamieścić w najbliższej przyszłości. — **Wawrzyniec Kosiaty** w K.: Pszczółki trzymają się dobrze; już dwa razy opróżniłem im magazyn zupełnie, a dla zasilenia pnia słabszego wziąłem trzy ramki krytego czerwiu. Mimo to zamierzam w najbliższych dniach zrobić odkład, gdyż ich jest wielka ilość, więc boję się, żeby się nie wyroiły i gdzie sobie w świat nie poszły. Łączę pozdrowienia. — **Andrzej Kozik** w W.: Wszyscy Panowie mieli posłany Nr. 21 „Roli", ale urząd pocztowy w Krakowie skierował przesyłkę do Frysztaka na Śląsku czeskim, a po pewnym czasie numera przyszły naturalnie z powrotem z dopiskiem „Nieznani". Posłaliśmy powtórnie z uwagą. — **Helena Latawcówna** w S.: Artykuł już złożony w druku, więc będzie zamieszczony w jednym z najbliższych numerów. Wierszyki również przeznaczamy do druku, lecz kiedy będą zamieszczone, trudno nam zgóry oznaczyć. Za życzenia serdecznie dziękuję. — **Adam Galer** w K.: Zagadki otrzymaliśmy i przeznaczamy je do druku.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Jan Smaza z Z).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ptak.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zwierzę dzikie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzemieślnik.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Góra na Bałkanie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Instrument muzyczny.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Ptak.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Malarz polski.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Europie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Kraj w Europie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Kraj w Azji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Europie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Materjał budowlany.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Kraj w Afryce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto na Bałkanie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Polsce.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą nam miłą rozrywkę.

2 Szarady.

I.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.)

(Pierwszy pół trzeci jabłek czerwonych,
Kaśka wyniosła z piwnicy,
Lecz Maciuś zabrał i z jabłek onych,
Nic nie zostawił swej połowicy.
Drugiego pół i trzecie w igle znajdziecie,
Lub na swej głowie chobiaż zdrobniale,
Całość mąż sławny na całym świecie;
Polak — na Polski żył chwale.

II.

Trzecie drugie pół pierwszego twór geome- [tryczny,
Zaś w innem słowa znaczeniu kawałek [muzyczny.
Maciuś idzie na wesele, nóż za całość pier- [wsze trzecie
Jak drugi pół trzeci będzie walił, waleczny [jest przecie
Druga trzecia ręka boli, ale to wnet minie,
Bo pokochał gracką pannę, pół druga-trze- [cia jej na imię.
Całość pękła mu u buta, nic już z niej [nie będzie,
Trzeba kupić nowe buty, bez nich zimno [będzie;
A tu niema ani grosza Maćka dusza żywa,
Z litujcie się czytelnicy przyślijcie grosiwa.

3 Układanki geograficzne:

Ułożył: Władysław Wicherek z B.

Co to za miescowość?
1) bryła lodu + nocne marzenia + zbio- [rnik wody
2) ujście rzeki + zaimek = ?.
3) albo ryba = ?.
4) bożek + kamieni a = ?
5) kolor + zbocze góry = ?.
6) zabawv spółgłoska + zaimek = ?.
7) niewolnik + spółgłoska fon, = ?.
8) zaimek + droga = ?.
9) wykonawca sprawiedliwości + sa- [mogłoska + żarty = ?.

5. Kwadrat magiczny.

Ułożył Piotr Wenc z Ś.

				planeta
				imię męskie
				rzadko (martwy język)
				potwór

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 27 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 23 „Roli": 1. Logogryf: Święte państwo Watykanu. 2. Szarady: I. Naftalina. II. Mandolina. III. Kramarka. 3. Rekonstrukcja: Ruda. Ural. Dama. Alae. 4. Łamigłówka: Nie odrazu Kraków zbudowano.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Klimeczko Fr. z W. L. 131, Klimeczko Fr. z W. L. 99, Jękot Józef z W., Rączy Walenty z J., Marjan Probierz z B., J. Fornal z Czudec, Jan Gara z W.

Nagrody wylosowali pp.: J. Fornal z Cz. i Marjan Probierz z B.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Fenomen.

— W kabarecie widziałem człowieka, bez rąk, który grał na pianinie.

— Wielka sztuka, moja żona niema głosu, a jednak śpiewa.



U piekarza.

Służąca przychodzi do piekarza.

— Wczoraj w ciastku była mucha.

— To pewnie był rodzynek.

— Nie, panie, to była mucha.

— Dobrze, nie będę się spierał, niech ją panienka przyniesie, to zamienię ją na rodzynek.

Gapa.

Gość: Czy mama w domu?

Staś: Nie, mama wyszła.

Gość: A kiedy wróci?

Staś (woła do mieszkania): Mamo, co mam teraz powiedzieć?

Giełda płodów rolniczych

z dnia 10 czerwca b. r.

Pszenica .	40·50—41·00	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto .	15·50—16·00	Ziemniaki stoł.	4·50—5·00
Owies . .	16·50—17·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	17·50—18·00		
Fasola biała	60·00 – 65·00	Mąka żytnia	31·50—32·00
Groch zwyk.	32·00 — 33·00	Mąka pszen.	71·00—72·00
Siano słodk.	7·50— 8·00	Otręby pszen.	13·00—13·50
Łubin żóły	00·00—00·00	Otręby żytnie	10·50—11·50
Koniczpastew.	10·00—11·00	Mąka czerw.	16·50—17·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 10 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·12 do 1·52 zł.	Jałownik	od 0·93 do 1·53 zł.
Woły . .	od 1·07 do 1·56 zł.	Cielęta .	od 1·08 do 2·00 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·45 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·15 do 2·50 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·60 do 3·05

„Zemsta cygana"

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzyczn.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.